ZYT 4.

ROK I. :: ::

Kwartalnie

13 zeszytów

tylko

2 kor. **40** hal.

W ajencjach 2 kor. 70 hal.



Przedpłatę na „Tygodnik Narodowy“ przesyłać należy przekazem pocztowym lub czekiem do Administracji „Tygodnika Narodowego“ w Krakowie ulica Wiślna 2.

Kraków, dnia 23 stycznia 1910.

TYGODNIK NARODOWY

ILUSTROWANY

Rocznie (52 zeszyty) **9** koron. Półrocznie **4** kor. **80** hal. Kwartalnie **2** kor. **40** hal. W ajencjach prenumerata kwartalnie **2** kor. **70** hal. Pojedyńczy numer **24** hal.

Administracja „Tygodnika Narodowego“
w Krakowie, ul. Wiślna 2. Konto czekowe 112 905

Nr. 4. Kraków, dnia 23 Stycznia 1910. ROK 1.



„Tygodnik Narodowy“ wychodzi co niedzielę. :: :: ::
Przedpłatę rocznie **9 kor.**, półrocznie **4 kor. 80 hal.**, ćwierćrocznie **2 kor. 40 hal.** — należy przesyłać na ręce **Administracji** „Tygodnika Narodowego“ w Krakowie, ul. Wiślna 2. (biuro p. Hupczyca). — W ajencjach na prowincji prenumerata kwartalnie **2 kor. 70 halerzy.**

Ogłoszenia: Od wiersza 1-łamowego petytem **30 hal.** Przy większych i częstszych ogłoszeniach odpowiedni rabat.

W Krakowie przyjmuje ogłoszenia wyłącznie biuro pana Marjana Hupczyca ul. Wiślna 2.
Konto czekowe poczt. kasy oszczędności No. 112 905.

Nasze sprawy.

— **Skargi hakatystycznego Schulvereinu.** Urzędowy organ hakatystycznego Schulvereinu, p. n. Der getreue Eckart, skarży się w ostatnim numerze na Radę szkolną krajową, jakoby dążącą usilnie do spolonizowania szkół niemieckich w Galicyi i szykanującą niemców galicyjskich. Dalej skarży się Schulverein, że Rada szkolna, mimo podpisania przez radę gminną w „Rosenburgu“ (pow. dobromilski) aktu wprowadzającego do tamtejszej szkoły naukę języka polskiego, za co miała Rada wystawić budynek szkolny, budynku dotychczas nie wystawiła. Gminy Konstatówka i Angelówka oddały szkoły prywatne w zarząd publiczny i żądały języka wykładowego niemieckiego, a Rada szkolna wprowadziła język polski. Podobnie postąpić miała Rada szkolna ze szkołami prywatnemi, niegdyś niemieckiemi w „Bechersdorf“, „Mönchenthal“, „Schönauger“, „Josefsberg“, „Mariahilf“, „Falkenberg“, „Wilhelmsau“ i t. d. Wreszcie użala się *Eckart*, że kraj nie daje ani halerza na szkoły niemieckie i szykanuje je, zamykając szkoły niemieckie jakoby nie mające odpowiedniego pomieszczenia. Skargi Schulvereinu strasznie są niemądre, a przedewszystkiem obłudne, obliczone na efekt w Berlinie.

— **Lwów a wystawa grunwaldzka.** Rada m. Lwowa uchwaliła wniosek udzielenia 200.000 kor. na cel grupy projektowanych wystaw (etnograficznej architektoniczej, wystawy sztuki, starożytności, sztuki stosowanej, przemysłu ludowego itp.). Subwencya gminy rozłożona ma być na lat cztery po 50 000 kor. rocznie — aby nie obarczać zbytnio tegorocznego budżetu gminy. W zamian za subwencyę uzyska gmina na placu powystawowym szereg trwałych budynków na własność, wartości, równającej się, a nawet przewyższającej subwencyę 200 000 kor. Subwencyę tę uchwaliła Rada, pod warunkiem jednakże, iż komitet mężów zaufania, do którego wchodzą pp. ks. Lubomirski, Biechoński, Neumann, Zacharjewicz i dr. Aschkenaze, do poniedziałku oświadczy, że za udanie się wystawy odpowiedzialność przyjmuje, inaczej cała sprawa upada.

— **„Niewinni“ Rusini.** Z Tarnopola donoszą: W Postołówce, pom. husiatyńskiego, założyło Koło T. S. L. w Kopyczyńcach na żądanie polskiej ludności polską czytelnię, której przewo-

dniczącym został obrany miejscowy kowal, Wiktor Dorożyński. Rusini, którzy w Postołówce pod względem ilościowym prawie równej są cyfry, używają wszelkich środków, aby Polaków od czytelni odciągnąć. W najbliższą noc po wyborze Dorożyńskiego przewodniczącym czytelni, napadli hajdamacy na jego kuźnię, rozebrali dach, porżnęli nożami miech kowalski i zarzucili gdzieś kowadło. Czynem tym rozpoczęli akcyę przeciw kierownikowi czytelni, bojkotują go, choć poprzednio wszelkie dawali mu roboty i otwarcie już zniewalają go do zamknięcia kuźni. Takie stosunki panują w Postołówce, w gminie o równej prawie polsko-ruskiej ludności, cóż dopiero mówić o gminach, gdzie Polacy są w mniejszości!

— **Nowy Bank we Lwowie.** „Słowo Polskie“ zamieszcza następującą notatkę: Staraniem Lwowskiego Stowarzyszenia kupców ma być powołany do życia Bank kupiecki, mający na celu udzielanie taniego i bezpośredniego kredytu sferom handlowym. O zdobycie tej instytucyi i zawładnięcie jej agendami starają się syoniści, których reprezentant, założyciel stowarzyszenia „Dorsze Szlom Zion“, powiększyłby chętnie listę swych partyjnych zaszczytów tytułem dyrektora banku. Jesteśmy przekonani, iż zabiegi syjońskie zupełnie nie odpowiadają intencyom założycieli i ci nie dopuszczą, by tak ważna placówka ekonomiczna, stała się nowem ogniskiem separatyzmu.

Zabór rosyjski.

— **Bank towarzystw współdzielczych**. Pomimo nieustannych utrudnień, stawianych wszelkim zrzeszeniom, nawet spółdzielczym, życie spółdzielcze rozwija się bujnie. Licznie powstającym w kraju organizacyom brakowało jednak instytucyi wspólnej centralnej, którąby mogła zadania tych zrzeszeń alimentować i regulować. Nagromadzone nadmiernie w wielu kasach pożyczkowo-oszczędn. kapitały zmuszają kasy te do odmawiania przyjęcia wkładów, nie znajdując na miejscu stosownego zużytkowania gotowizny, gdy tymczasem inne stowarzyszenia nie mogą się rozwinąć z braku funduszów. Brakom tym ma zazadzić *Bank towarzystw współdzielczych*, którego głównym celem jest gromadzenie funduszów zbywających w zrzeszeniach spółdzielczych i rozprowadzenie tych funduszów tam, gdzie ich brak. W ustawie istnieje przytem ważny punkt, nie dozwalający Bankowi na odchylenie się od zadań właściwych, mianowicie wszelkie sumy wnoszone do Banku przez zrzeszenia spółdzielcze mogą być obrócone tylko na rzecz tych zrzeszeń. Zebranie organizacyjne Banku, zgromadziło blisko 300 akcyonaryuszy. Po przyjęciu sprawozdania biura organizacyjnego uchwalono budżet wydatków, wreszcie postanowiono rozpocząć działalność Banku dn. 20 stycznia i upoważniono zarząd do podniesienia 500.000 rb. i ulokowania ich w instytucyach kredytowych, stosownie do uznania zarządu.

Na prezesa zarządu powołano posła Antoniego Rządа, na członków St. Karpińskiego i Tadeusza Piaseckiego.

Z dalszych stron.

— **Liga pokoju w żydowskim sklepie.** „Głos Narodu“ zamieszcza następującą korespondencyę z Wiednia: W Galicyi rozeszło się przeszłej jesieni dużo losów loteryi, mającej przysporzyć środków materyalnych „Lidze pokoju“, której przewodniczącą jest baronowa v. Suttner, autorka znanej powieści „Die Waffen nieder“. Atrakcyą tej loteryi jest, że co drugi los wygrywa. Ostatnie ciągnienie dawało premium za każdy los parzysty jakiś obraz, którego wartość od 3 do 10 koron oznaczono w prospektach loteryjnych. Obrazy te wydawano w czasie przed i po świętach Bożego Narodzenia r. p. Będąc w tym czasie w Wiedniu i mając parę losów parzystych, udałem się sam do sklepu Gerngrossa, gdzie wydawano wygrane. Nieprzyjemnie uderzyło mnie od razu, gdy dowiedziałem się, że Gerngross to żyd, a wielki jego magazyn składa się przeważnie z tandety, jak wogóle na Mariahi ferstrasse. — Magazyn duży, sprzedaje tam wszystko od butów do talerzy, od futra do wódki. Tam też komitet loteryjny zakupił „okolicznościowo“ obrazy owe, które w suterenach wydawano.

Osób z wygranymi losami w tej chwili, gdy zaszedłem, było parę tysięcy — puszczano to wszystko przez jedną małą bramkę do lady, gdzie wydawano obrazy. Tęgie żydziaki sklepowe strzegli onej bramki, a gdy za dużo natłoczyło się osób, wyganiali z powrotem. Podziwiałem cierpliwość Niemców, że nikt tam nie upomniał się o takie postępowanie. Przy ladzie było jeszcze gorzej — kobiety prawie dusiły się, aby dostać obraz, oleodruk dość wprawdzie duży, ale najobrzydliwszej edycyi.

Sądzę, że każdy inny drobiazg nawet jak najtańszy, jakaś szpileczka ze znakiem „Ligi pokojowej“ i nie przez żyda wydana, ucieszyłaby mię i wielu inteligentnych ludzi dużo więcej, niż tandetny obraz i w takich warunkach otrzymany. Myślę, że trzeba opublikować sprawę, aby na przyszłość zarząd loteryi miał się na baczności, jeżeli wogóle zależeć mu będzie na dobrej rozsprzedaży u nas swoich losów.

Przy rocznicy.

Stajemy wobec rocznicy styczniowej. Jak corocznie w kraju całym, na rozmaitych wieczorach i zebraniach wspominać będziemy dzieje półtorarocznej walki o niepodległość polityczną i snuć praktyczne wnioski co do naszego postępowania w chwili obecnej.

Z odległości prawie pół wieku inaczej nam dziś przedstawiają się dzieje Powstania Styczniowego, i łatwiej nam przyjdzie urobić zdanie własne o ostatniej naszej walce zbrojnej. Pomimo tylku klęsk, jakie powstanie przyniosło, z najgłębszym szacunkiem kłonimy serca w hołdzie przed wielkimi Synami Polski, którzy w obronie Narodu nie wahali się ofiarować wszystkiego — i mienia i szczęścia osobistego i własnego życia. Ten wzgląd, ta *ofiara* jest najpotężniejszym momentem wobec którego wszelkie inne słabną lub giną. Jest ona wyrazem potęgi uczucia patryotycznego, jest wyładowaniem się nagromadzonej energii żywotnej i chęci służenia Sprawie publicznej i narodowej. Po wszystkie czasy powstanie to pozostanie szczytowym dowodem naszego oddania się Ojczyźnie.

Równocześnie Powstanie Styczniowe, jak i wszelkie działania zbrojne i akty naszej polityki narodowej w przeszłości, są dowodem istnienia w społeczeństwie dążeń do samoistności politycznej. Pozbawiono nas samoistnego bytu państwowego, a czyn swój mocarstwa zaborcze pozorowały troską o nas samych, którzy nie umiemy się we własnem państwie rządzić i nie mamy sił do życia samodzielnego.

Wszelkim takim teoryom kłam zadawało życie. Pomimo rozmaitych sprytnie obmyślonych ograniczeń, pomimo wyrafinowanych i wyszukanych utrudnień, że niewiele innych mogłoby wytrzymać porównanie — mimo wszystko *istniejemy*, a to właśnie istnienie dowodzi sił naszych żywotnych, niewyczerpanych.

Walka o samoistność polityczną, *dziś* niemożliwa, jednak walka o najszersze prawa polityczne i swobody do normalnego rozwoju pod względem narodowym, kulturalnym i gospodarczym — walka ta trwa nieustannie.

Będziemy mieli nieraz sposobność wrócić do tej myśli. Tu jeno należy zaznaczyć, że naród polski w zaborze naszym wyraża swe dążenia w ciągłej pracy nad pogłębieniem *samowiedzy narodowej* we wszystkich warstwach, nad podnoszeniem *oświaty* narodowej, nad *uobywateleniem* jak najszerszych warstw.

Zajęci życiem codziennem, pośród trosk i zabiegów dnia dzisiejszego, może nie dostrzegamy nawet, jaka fala *uświadomienia* narodowego pogłębia się ustawicznie i potężnieje. Przechodzą nieraz mimo nas, nie zwróciwszy uwagi dostatecznej, zjawiska życia współczesnego, będące świadectwem rosnącej siły narodowej, obywatelskiego ducha i dojrzałości społecznej. Gubią się niekiedy objawy, świadczące o dążeniach u ogółu do konsolidacyi, spajania i *zrzeszania* sił narodowych.

A bodaj pracy tej, przedewszystkiem zaś: pracowników — *za mało*. Siła nieprzyjaciół rośnie, ataki ich nie ustają: w naszych szeregach wyłom niekiedy się czyni, niekiedy ręce we walce mdleją. Pracowników na tej niwie trzeba jak najwięcej.

Do tej pracy, do krzepienia uczuć narodowych, pogłębiania świadomości narodowej, staje i nasze pismo.

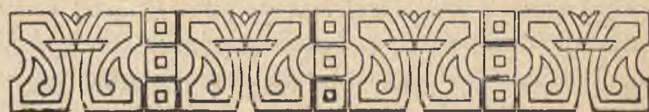
Kiedy nieprzyjaciele nasi w wymysłach środków ku zgnębieniu naszej narodowości rozpoczęli obecnie *paczyć dusze* polskie, znieprawiać je *złem* i brudem, *niewiarą* i *rozpustą*, kiedy w najrozmaitszych pismidłach i książeczkach sieją niezdrowe zasady, — trzeba temu przeciwstawić zdrową lekturę, światłe myśli i ducha obywatelskiego. Wszelkiemi możliwemi drogami włazi w społeczeństwo rozprzężenie obyczajów, upadek ducha, obniżanie się ideałów. To są środki, któremi obcy chcą kazić nam ducha.

Spaczenie dusz możemy zwalczyć jedynie przez stworzenie odpowiedniej konkurencyi lekturze rynsztokowej. Odbierając masom lekturę siejącą gangrenę, chcemy wzamian dać zdrowy pokarm czytającej publiczności. Walcząc z dążnościami do obniżania uczuć zmierzającemi, pragniemy, pomni wielkich przykładów przeszłości dostojnej, rzeźbić charaktery i kształtować dusze.

Wielkich charakterów i dusz wielkich *dzisiaj* nam trzeba nadewszystko. Poziom uświadomienia narodowego wzrósł w całej Polsce, nie mniej *sprawa polska w polityce światowej* jest obecnie wysoce *aktualna*.

Naród chcący żyć musi przewidywać przyszłość. Urabiać przyszłość mogą jedynie ludzie silni i mocni. Budzić życie mogą tylko łaknący tego życia.

My łakniemy pracy i życia, chcemy życie budować i tworzyć. *Z żywymi naprzód po życie idziem nowe!*



ZYGMUNT PADLEWSKI.

(Wspomnienie historyczne z r. 1863).

Syn powstańca polskiego, który życiem na szubienicy w Kijowie przepłacił walkę o wolność Ojczyzny. Sam wychowany w wojskowej szkole rosyjskiej, nie tyle, by zatracił swe uczucia, ile uważając to dla Polaka konieczne, na pierwszą wieść o powstaniu pospieszył w bratnie szeregi walczących.

Szczególnie oddziałali na niego Jarosław Dąbrowski i Zygmund Sierakowski jeszcze w Petersburgu i oni to natchnęli oficera artyleryi do żywszych i wznioślejszych dążeń narodowych.

Odgłos pierwszych strzałów w Warszawie przebudził uśpioną nieco duszę Zygmunta. Wziął urlop i przez Kijów, Warszawę przybył z końcem r. 1861 do Paryża, nawiązując po drodze stosunki z tworzącą się organizacyą narodową. W stolicy Francyi zastał licznie nagromadzoną młodzież, która schroniła się tam chwilowo z rozmaitych dzielnic, by złączona, silniejsza, doświadczeńsza do nowej stanąć walki.

Przyjęty w grono tej młodzieży polskiej, wszedł w sferę ciężkiej, mozolnej a niebezpiecznej pracy dla Ojczyzny. Odczuwając wyższość umysłową Zygmunta i tegoż zasady, wygłaszane z wiarą i zapałem, wybrała go młodzież prezesem swego towarzystwa, któremu przewodniczył do marca 1862 r. tj. do czasu objęcia katedry profesora polskiej szkoły wojskowej w Cuneo, gdzie wykładał licznym słuchaczom taktykę i strategię wojskową. W tym czasie odwiedzał w celach politycznych Garibaldiego na Sycylii i Hercena w Londynie.

W połowie r. 1862, wezwany do Warszawy, wysłany stamtąd do Paryża, objął po powrocie do kraju obowiązki naczelnika stolicy Królestwa i na tem stanowisku rozwinął najwyższą czynność organizacyjną, przygotowywał powstanie, gromadził zasoby, przysposabiał plany wojenne, a nadewszystko plan rozmieszczeń popisowych.

Pomimo licznych trudności, krytyki i zarzutów, nie cofnął się w przedsięwzięciu, doprowadził dzieło do skutku i okólnikami, wysłanymi do władz prowincyonalnych, oznaczył dzień 22 stycznia 1863 r., jako dzień wybuchu powstania. — Przy boku jego, jako przewodniczącego komitetu centralnego, stali w onczas Oskar Awejde, Stefan Bobrowski, Agaton Giller, Józef Janowski. Jan Majkowski i ks. Karol Mikażewski. Dnia 17 stycznia 1863 r. zaraz po brance wyjechał Padlewski z Warszawy do puszczy Kampinowskiej, celem zorganizowania oddziału i uderzenia nim na Modlin, gdzie mieli spiskowscy pozyskaną dla sprawy szkolę junkrów i oddziały załogi. Rząd moskiewski, uprzedzony o spisku, przewiózł junkrów do Rosyi i zmienił załogę twierdzy.]

Wobec tego i gdy w dodatku oddział powstańczy był za słabym i niedostatecznie uzbrojonym, odstąpiono od zamiaru ataku na Modlin, a Padlewski przeszedł Wisłę po topniejącym lodzie, wkroczył w województwo Płockie, gdzie zetknął się z nieprzyjacielską kolumną Kozlaninowa i objął ster władzy, jako naczelnik sił zbrojnych tegoż województwa. Pierwsze niepowodzenia zraziły Padlewskiego do tego stopnia, iż zamierzał wydać odezwę do rozejścia się i odłożenia powstania na czas późniejszy.

Ogłoszeniu takiej odezwy, a raczej takiego rozkazu sprzeciwili się członkowie cywilnej polskiej organizacyi powstańczej, nowomianowany zaś komisarz dla powiatu pułtuskiego Zbigniew Chędzyński, mąż śmiały, zapa'czywy i pewny siebie, wystylizował osobiście płomienną odezwę, dał ją do podpisu Padlewskiemu, zagroził ewentualną przymusową branką i wezwał w ten sposób naród do dalszych poświęceń, do ofiar, do broni.

Organizacya w Płockiem poszła żywem tempem.

Oddział, stojący bezpośrednio pod rozkazami Padlewskiego, składał się z kilku mniejszych oddziałów, wśród których górował powagą i wpływem naczelnik Władysław Roman Cichorski (Zameczek). Niespełna 2000 ludzi było podzielonych w dwa bataliony, każdy batalion w dziesięć sekcyi.

Przeciw tej sile zmobilizowali Moskale sześć kolumn z myślą otoczenia i zniszczenia oddziału. Pierwsze starcie we wsi Przetyczy zmusiło Moskali do cofnięcia się po posiłki. Z Pułtuska i Płońska wyruszyły silniejsze zastępy pod komendą pułkownika Wałujewa. Padlewski przesunął się ku granicy Poznańskiego, przeszedł Narew powyżej Ostrołęki, zniszczył za sobą środki przeprawy, powstrzymał w ten sposób chwilowo napór nieprzyjaciela i przyjął dopiero bitwę pod *Myszyńcem* dnia 9 go marca 1863 r.

Krwawa ta bitwa stwierdziła osobistą odwagę dowódcy. Z niezrównaną brawurą, z fantazyą co to skrzydła orle przypięła do ramion polskiego rycertwa, zsiadł Padlewski wśród gradu kul z wierzchowca, pochwycił chorągiew w lewicę, wyskoczył na czoło kosynierów i powiódł ich dwukrotnie do ataku. Po sześciogodzinnych zapasach odeszła Wałujewowi ochota do dalszej walki, a Padlewski, pozostawiony chwilowo w spokoju,



Juljusz Kossak.

Rok 1863.

wypoczywał w powiecie Prasnyskim w obozie pod Drążdzewem nad Oswycą w ordynacyi hr. Krasinskich.

Tutaj uderzyła na niego 12 marca druga kolumna, wysłana z Prasnyża pod komendą pułkownika Gozielowa, podczas gdy Wałujew nadciągnął z pod Choczla dla osaczenia powstańców. Padlewski zaatakował Gozielowa i ze stratą tylko czterech ludzi, między którymi był, niestety, Edward Rolski, organizator pełnomocny i komisarz centralnego Komitetu na województwo płockie, wyrwał się z groźnego niebezpieczeństwa. Wałujew nie miał odwagi ścigać powstańców, Gozielów zaś powrócił do Prasnyża po nowe posiłki. Na czele tychże stoczył z Padlewskim utarczkę dnia 15 marca pod Ząbkami, w której rezultacie mogli Polacy wypoczywać spokojnie przez dni kilka w zapadłych lasach obok Mławy.

Trzecia kolumna rosyjska, wysłana z Płońska pod komendą podpułkownika Lewachowa, zaatakowała powstańców pod Sureńskiem, a napierając, podeszła dnia 21 marca pod Radzanów, podczas gdy równocześnie osaczały go kolumny podpułkownika Wabakowa z Płocka, asauły Dukmanowa z Mławy i majora Drozdowa z Lipna.

I znów wyszedł Padlewski, potykając się szczęśliwie z nieprzyjacielem, z matni, przeszedł w lasy lipnowskie, lecz tutaj nie zastał oczekiwanej broni i strzeliwa. Znużonych marszem, wycieńczonych walką powstańców ogarnęło teraz zwątpienie i niewiara, a rezultatem tego było rozpuszczenie oddziału i wyjazd Padlewskiego do Warszawy w celu przedłożenia nowych planów projektów.

Mianowany jenerałem, powrócił Zygmunt w Lipnowskie i zajął się organizacyą nowych oddziałów. W tym czasie otrzymał polecenie wyjechania ku granicy pruskiej, w celu odebrania wkraczającego do Królestwa oddziału. Świadom poprzednich wypadków, w których zapowiedziane oddziały wcale nie jawiły się na granicy, świadom grożącego mu niebezpieczeństwa, wysłał Padlewski do pełnomocnika komisarza Prus zachodnich list, a w nim przedstawił stan rzeczy i żądał, by przynajmniej tym razem nie doznał zawodu, by oddział poznański stanął na granicy ściśle o godzinie 11 w nocy z dnia 21 na 22 kwietnia 1863 r.

W oznaczonym dniu wyruszyły dwa powozy w kierunku granicy pruskiej. W pierwszym powozie jechał obok Padlewskiego, adjutant Kuczbraski i właściciel Myślikowski Sokołowski, w drugim dr. Licyński i Sieciński. Wszyscy mieli przy sobie paszporty. Padlewski na imię Zenona Polińskiego. Zrazu odbywała się podróż bez przeszkód, a dopiero w Brzeninie zatrzymał podróżnych kozak z ruchomej kolumny sztabu generała Rutkowskiego.

I oto stała się rzecz przedziwna. Padlewski zamiast okazać kozakowi paszport, rzucił mu 100 rubli, żądając swobodnego przejazdu, następnie gdy kozak odrzucił propozycyę, rubli 200 potem 300 i 500. W chwili tego targu przygalopował kozacki oficer Godlewski, zrewidował powozy, a znalazłszy pod siedzeniem konfederatkę z białą czaplą kitą (odznaka wojewody) i plik papierów z listami Stefana Bobrowskiego, przyaresztował podróżnych i odstawił do Lipna.

Tutaj wszedł do więzienia po zbadaniu papierów sztabskapitan Prowalski, zbliżył się do Padlewskiego i zapytał o nazwisko:

— Obywatel Zenon Poliński...

— Daj pan spokój udawaniu, na nic się to nie przyda: pan nie jesteś Polińskim i wiemy kim jesteś...

— Jeśli pan wie, kim jestem, nie będę się zapierał...

— Pan jesteś Padlewskim.

— Zgadłeś pan, — brzmiała odpowiedź występującego z całą godnością — jenerała.

W oddzielnej celi w Płocku siedział schylony nad książką treści religijnej. Odrzucił propozycyę apelowania do łaski cara, ze wzgardą odrzucił namowę wydania organizacyi, napisał ostatnie listy do rodziny, pożegnał się z ciotką hr. Potocką, która w tym celu przybyła do Płocka i zdeterminowany wyczekiwał godziny egzekucyi.

Nadeszła...

Blady, lecz z zimną krwią, odważnie z niezawiązanemi oczyma spozierał w paszcze dwunastu karabinów.

Oficer, podniósł rękę... gruchnęło dwanaście strzałów i dwanaście kul wpiło się w nogi i po niżej piersi skazańca. Zachwiał się, ale nie upadł, wyczekiwał dobicia... Przyskoczył sołdat na rozkaz komendanta, strzelił z karabinu i trafił miast w serce w lewe ramię.

Straszna egzekucya!

Skazaniec zachwiał się, upadł w tył do przygotowanego grobu, a drgające jeszcze oznakami życia ciało przysypały ziemią sołdatów łopaty. Niech zimna mogiła pokryje ślady spełnionego czynu!

Umarł Padlewski jak prawdziwy bohater, stwierdził, jak umiał żyć i ginąć dla Ojczyzny.



W taki dzień — w wspomnień dzień.

(W rocznicę styczniową).

W taki dzień, w wspomnień dzień,
Inne w koło życie —
Gdzież nasz trud? marny trud
W szarym mroku, w kurzu, w pyle
Daje jęku, potu tyle
Tyle rzeźbi bruzd na czole
Tak nas ziębi w troski kole,
Iż widzimy tylko siebie...
Aż tu świta dzień na niebie



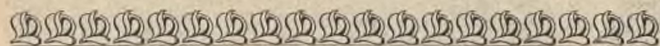
SYBIRAK.

Taki dzień — wspomnień dzień
Woła nas — słyszycie?...
— Gdzie nasz trud — marny trud
— O chleb i o życie? —

W taki dzień — w wspomnień dzień,
Inna myśli tkanka —
Cierpień ból, krzywdy ból
Bije w sercu, w czole dzwoni,
Trzeba wielkich ludzi z ducha,
Bo na karłach przyszłość krucha
A my czemże urastamy?
Co Ojczyźnie w darze damy...
W taki dzień, wielki dzień
W świt wielkiego ranka —
Cierpień ból — krzywdy ból
Toż przyszłości tkanka?

W taki dzień, w wspomnień dzień
Zapomnij o sobie —
Czeka kraj, biedny kraj,
Na te żniwa, na te kłosy,
Co rozjaśnią czarne losy,
Co oświatę w lud poniosą,
Co pokrzepią wiary rosą,
Co uzbroją w cnót pancerze.
I plon złoty naród zbierze
W taki dzień — w czynu dzień
Ty dumaj na grobie
Czeka kraj — biedny kraj...
Zapomnij o sobie!

Jan Świerk.



Ociemniały szewczyk.

(Na styczniową rocznicę).

— Piotrusiu!.. wróć się!..

— Nie mogę!.. Matko nie żądaj, nie mogę...

— Wróć moje dziecko... rozważ dobrze co czynisz, ja ciebie tylko jednego mam na świecie, ja biedna wdowa.

— Matko! matko!... nie mów tak do mnie... serce mi krwawisz, ból mię łamie, żal mię zabija, jednak wrócić nie mogę... tyś biedna matka, ale biedniejszych od ciebie tysiące, tysiące...

Piotruś Jaworski, szewczyk warszawski z Pragi spieszył do Warszawy, bo miał ruszyć z oddziałem powstańców, a tu matka wybiegła za próg domku i woła z płaczem:

— Piotrusiu wróć się!...

Ciemna noc skryła postać matki, ale Piotruś wie, iż po tej twarzy sączą się łzy ciężkie.

Ciemna noc osłoniła twarz ubogiej kobiety, ale Piotruś wie dobrze ile bolu rysuje się na tym czole pooranym zmarszczkami, jak się łamią owe usta blade, które szepcą coraz ciszej:

— Wróć się Piotrusiu!

— Matko nie mogę... Każdy z nas Polaków takie wołanie mógłby słyszeć i gdyby każdy wrócił, co by się stało z sprawą narodową?... Ja wrócę matko, obaczysz, ale później... Bądź zdrowa i błogosław mi...

Jeszcze szept cichy, jeszcze cichszy płacz, jeszcze szelest kroków i potem nic...

Ciemna noc skryła szewczyka spieszącego do Warszawy.

Ma być na krakowskiem przedmieściu o 10 tej, ma przenieść rozkaz doręczony mu w południe, ma stawić się w miejscu umówionym i o północy pójdą w dal...

Szewczyk pędzi jak strzała..

— Co to?.. głos matki szepce wróć się?... Nie! nie! matka już została daleko, już jest w izdebce ubogiej, już pewnie modli się i spać się położy prędzej...

— Co to?.. głos matki odzywa się wciąż za mną?.. Leci echem na skrzydłach wiatru, co to jak na strunach rozpiętej arfy głos ten dzwoni pieśń żałosną i idzie za mną?.. Nie! nie! matka już nie woła, ona wie, iż ja wrócić nie mogę prędzej!..

— Co to?.. głos matki jękiem bolesnym bije o moją duszę wróć!.. wróć! woła jakby wszystkich łez bolesną skargą?.. od wieżyc kościelnych szeptem głos ten się odbija, od ścian kamienic spada gdzieś na czoło spocone od szybkiego biegu... Jezus! Marya!.. gdzie ten głos matki za mną idzie?.. wstrzymuje mnie, pęta, ja muszę iść dalej, przyrzekłem Ojczyźnie służyć...

Piotruś Jaworski spieszy co sił — do bramy na krakowskim przedmieściu dzwoni, znikł w ciemnej sieni...

— — — — — — — — — — — — — — —

W dwa dni potem w bitwie pod Budą Zaborowską o 3 mile od Warszawy Piotruś Jaworski był w bitwie.

Dowódzca oddziału Remiszewski otoczony przez kilka rot piechoty, sotnię kozaków i oddział dragonów, miał w swoim obozie 250 młodzieńców prawie bez broni.



PO BITWIE.

Nie była to bitwa lecz rzeź prawdziwa. Okropne pastwienie się ludzi zbrojnych nad dziećmi bezbronnymi...

Piotruś Jaworski widząc co się dzieje, iż Moskale pastwią się i znęcają nad rannymi, porywa z ręki poległego kozaka karabin i rzuca się do obrony...

W tem ból okropny przerywa jego czoło.

— Jezu! jęknął stłumionym głosem i padł pod stopy kozaków...

Z ócz jego płyną dwa strumienie krwi i sączą się po białej koszulinie, po piersi szczupłej, barwią niebieski szkaplerzyk i osychają czarnemi kroplami...

Z ócz jego wypływa ostatnie światło, ostatnia skierka życia tych gwiazd, które miały widzieć wolność Ojczyzny i szczęście wielu...

— Oczy moje oczy... jęczy chłopczyna i usiłuje przetrzeć ból ręką i pragnie znaleźć kilka kropel wody, ażeby ochłodzić żar ognia wypalającego oczy...

Walka coraz straszniejsza... pobojowisko coraz gęściej trupami zaściela się — zbliża się noc i wszystko niknie z przed wypalonych ócz Piotrusia...

Nie wie on już o niczem. Nie wie, iż dzień 14 kwietnia 1863 roku zapisany jest na kartach męczeństwa Polaków, nie wie, iż Moskale odjechali krzycząc radośnie — zwycięstwo! — nie wie, iż ciało dowódzcy porąbane w kawałki, nie wie, iż drzewa bezlistne stoją jak skamieniałe, a nikt nie woła echem głosu matki: — wróć!..

— — — — — — — — — — — — — — —

W szpitalu w Warszawie leży Piotruś Jaworski.

Lekarze doglądają go troskliwie, opiekują się i pocieszają chłopczynę, ale prawdy ukryć nie zdołają.

Oczy Piotrusia są wypalone strzałem i ócz tych żadna pomoc lekarska nie ożywi.

Wypłynęły te oczy ze strugą krwi przelanej w obronie wolności — wsączyły się w grudkę ziemi tej biednej matki, którą ratować i bronić chciano.

— Proszę pana, mówi Piotruś do doktora Korzeniowskiego, który go odwiedza, ja już wiem, iż ociemniałem, ja już wiem, iż ócz nie mam, już noc wieczną będę miał przed sobą... a jednak mi nie żal i nie płaczę.. tylko jedno mi ciągle na myśli... nie wiem jak to powiedzieć...

— Powiedz szczerze, pragniesz czego, masz jakie życzenie...

— Czegosz ja mogę pragnąć?... Już dla mnie noc wieczna, tylko jak ja to matce powiem, iż ociemniałem na wieki...

— Mam matkę ubogą?

— Uboga i tylko mnie jednego ma na świecie. Ja tylko na jej życie zarabiałem, ja tylko dla niej miałem być pomocą... Jakże teraz przyjdę i powiem — nie pomocą ale ciężarem tobie będę?...

— Matka wie żeś szedł w bój?..

— Wołała za mną żałośnie i błagała wróć!.. ciągle słyszałem głos ten za sobą i przed sobą, serce mi pękało z bolu i żalu, a jednak nie wróciłem...

— Bądź spokojny!.. Ja twoją matkę będę utrzymywał i ciebie wezmę jako brata do siebie.

— — — — — — — — — — — — — — —

W parę miesięcy porwali Moskale doktora Korzeniowskiego do cytadeli i wywlekli w Sybir.

Przy czytaniu wyroku powiedziano:

— Ukarany za to, iż buntowczyka chłopca szewskiego leczył w szpitalu, a potem go utrzymywał.

Powlekli lekarza w Sybir, a ociemniały Piotruś siadywać musiał pod narożną kamienicą i wyciągał rękę żebraczą.

Ilekroć dzwony z wieżyc kościelnych grały, zdawało mu się woła na niego nie jeden cichy szept matki, ale całej Ojczyzny głos silny i potężny, który wymawia:

— Wróć się!..

Ilekroć litościwi ludzie rzucali mu jałmużnę, tyle razy zdawało mu się serce biło żywiej i wołało w głębi łona...

— Wrócą w narodzie owi, którzy za wasze ociemniałe oczy Ojczyźnie odpłacą szczęściem...

A w Syberyi doktór pytany przez rodaków za co cierpi, mówił:

— Zgrzeszyłem bardzo — ratowałem oczy biednego szewczyka.

Jadwiga S.

O pornografii.

(*„Pornografia“*. Głosy polskie w najważniejszej sprawie moralności społecznej. Lwów 1910. Nakład Towarz. Imienia Skargi).

Sto głosów pisarzy polskich odpowiada tutaj na ankietę młodzieży lwowskiej akademickiej, charakteryzując pornografię, czyli rozpustę w słowie drukowanem i obrazach, i szukając uzdrowienia narodu, z tej naniesionej nam zarazy.



Niebezpieczna sytuacya.

Wszyscy, mniej więcej, widzą źródło pornografii w tym odłamie literatury i sztuki który świadomem działaniem na „zmysłowość“, mąci odczuwanie i pojmowanie świata zewnętrznego. Wszyscy prawie nasi myśliciele, wypowiadają wojnę tym wyrobom literackim, teatralnym, i artystycznym, które pod pozorem „sztuki“ „szczerości“ i „nagiej prawdy“, pogarszają zło.

Autorowie tego pokroju dla celów ambicyi i własnej taniej popularności, karmią żądny sensacyi tłum nową „etyką niezależną“ i „myślą niepodległą“ bez żadnych praw i przykazań, ukazując „zagadnienia seksualne“ jako najwyższą żywiołową siłę. Przed nią każą się giąć i jej oddawać się na pastwę bez zastrzeżeń — jako jedynemu celowi życia, bo to ma być „religia natury“ — jedyna prawdziwa!

Prąd ten i moda, przyszły do nas z Niemiec.

Dr. Kazimierz Chłapowski wice-prezes sejmowego koła polskiego w Berlinie, tak o tem mówi: „Aby brudny handel ukrócić, muszą prawodawstwo i opinia publiczna podać sobie ręce, w imię zasad chrzecijańskich. Próbowało tego Centrum w Niemczech. Chciało obostrzyć prawodawstwo przez znane lex Heinze, ponieważ jednak inicjatywa wyszła od Centrum, od katolików, podniósł się gwałt stronnictw przeciwnych, liberałów i wolnomularzy. Założono związek Göthego (Göthesbund), w obronie rzekomo zagrożonej sztuki, chociaż w projekcie nietylko dzieła sztuki, ale wszystko co rozsądnie pod jej miano zamieścić można, wyraźnie i jasno z pod przepisów prawa wyjęto. — Projekt nie uzyskał większości. Głoszono, że ocalono sztukę przed obskurantyzmem i zacofaniem a... uratowano propagandę brudów i niemoralności.

Aleksander Jelski w Zamościa (mińska gub.) powiada: „Chrześcijaństwo, przykładem cnót i krwią przelaną, zwaliło niegdyś kult pogański. Chrześcijaństwo ma teraz niemal to samo zadanie w ponurej dobie kataklizmów duchowych i społecznych Tylko hart ducha katolickiego, ujawniony w czynie, dokona, odrodzenia ludzkości. Bez powściągliwości niema cnoty, a bez niej żadnego lotu i życia“.

T. T. Jeż z Zurychu — mówi: „Pornografia grasuje obecnie w epoce postępu, w ramach t. zw. modernizmu, podszytego samemi wykluczającemi się wzajem sprzecznościami; histeryą niewieścią, i histeryzmem męzkiem; osobnikowym megalomanizmem nadczłowieczym, i bezwględną równością społeczną; wielbieniem linii, formy, i czczeniem duszy nagiej; stawianiem chorobliwości na ołtarzu. pogardą dla zdrowia, i zaprawianiem tego wszystkiego miłością wolną. Doktryneryzm zlepiony z tych pierwiastków, wyradza potworność — pornografię, doprowadzając do zaniku — władze uczuciowe, pojęciowe i fizyczne.

Dr. Caro z Krakowa powiada: „Ratunek na to: umiejętne, szanujące wstydliwość uświadomienie, wykształcenie przyrodnicze wogóle; pogłębienie uczuć religijnych, większa znajomość wiary, mocniejsze jej ukochanie w sferach wykształconych, to dwa przeciw pornografii puklerze“.

Eliza Orzeszkowa mówi: „Plamy pornograficzne, rozsiane po literaturze, sztuce, mowie i obyczaju społeczeństwa, objawiają znajdujacą się w niem truciznę zepsucia moralnego, są jego bezpośredniem skutkiem ale zarazem sprzymierzeńcem i pobudzicielem. Przeciw niemu, jako u samego korzenia podgryzającemu siłę fizyczną, i duchową narodu, walczyć należy z całej mocy w dziedzinie wychowania, piśmiennictwa i propagandy przeciwnoległych ideałów“.

Cecylia Platerówna powiada mniej więcej te słowa: Precz z pornografią we wszystkich jej objawach! (niemoralnych książkach, erotycznych kompozycyach malarskich, pocztówkach ohydnych,, teatrze dwuznacznym).

Ta pornografia szerzy demoralizacyę, wprowadza otrzaskanie się ze złem, stępieniu zmysłu moralnego. A więc co zrobić? Zabronić młodzieży czytania, bojkotować księgarnie i czytelnie propagujące zły towar? Nie! to za mało. Wszelki zakaz jątrzy tylko. Trzeba rozwinąć zasadę zaleconą przez . książęcia apostołów „Zło dobrem zwyciężać“.

Młodzież uświadomiona, która zrozumiała wszechstronną szkodliwość pornografii zuchwale depczącej najwspanialsze ideały ludzkości, niechybnie zapłonie wielkiem oburzeniem, przeciwko brudom literatury obecnej, aby czystością ducha i jego hasłem, odrodzić się i w ojczyźnie krzewić odrodzenie moralne.“

Prof. Stanisław Tarnowski. Literatura nasza nigdy nie miała przewrotnej sprosności. „Literatura polska, w. XIX-go była bardzo czysta, i pod tym względem jedna z najszlachetniejszych na świecie. Jakim sposobem mogła się stać tak zepsutą i psującą, tak gorszącą, jak jest dzisiaj? Z pojęciami czerpanemi z zachodu, przyszły wpływy literatury rosyjskiej. I nastąpiło literackie prześciganie się w bezwstydzie, obrzydliwości, i szukaniu zwierzęcia w człowieku. Dla naszych nieprzyjaciół to bardzo porządane: społeczeństwo, które daje się zepsuć, da się potem rozłożyć i strawić! Gdy próchnieje wszelki hart, ginie wszelka siła w narodzie. Ci co pracują u nas nad zniszczeniem chrześciaństwa, biorą na sprzymierzeńca



WEZUWIUSZ.

niewiary — rozpustę. Protest młodzieży wobec pornografii, to rzetelna służba Bogu i narodowi.

Prof. Maryan Zdziechowski zastanawia się nad skutkami pornograficznej literatury i sztuki i powiada, „że dziś w czytelnictwie jakość ustąpiła ilości, i że stanowiska, na których królowali nieliczni mistrzowie myśli filozoficznej, zapełnili dziś płytcy dziennikarze i agitatorzy; wielkich zaś geniuszów poecyi, zepchnęła literatura powieściowa, ulegając zarazie idącej z Zachodu i z Rosyi. Literatura owa zaznacza się pierwiastkami beznadziejnego pessymizmu, dzikiego, anarchicznego niszczycielstwa, i wyuzdanej erotomanii.

Dosyć cytat.

Najsmutniejszem w nich jest to, że parę razy zarzut szerzenia pornografii u nas, skierowany został ku kobietom.

Tego jeszcze dotąd o polskiej kobiecie — nie powiedział nikt. A jeżeli dziś powiedzieć śmie — to chyba z dwóch przyczyn. Albo w masie kobiet naszych jest dużo niepolskich niewiast, którym obce są ideały kultury naszej, idącej z Bogiem i narodem, albo — my Polki zanadto jesteśmy bierne w oddziaływaniu na zgniliznę ducha, polakierowaną tęsknotami nagich dusz w teatrze „modern", poezyi i romansie erotomańskim. My niedostrzegamy chyba, że, jak mówi Skarga, „najgorzej jest jabłku, gdy zacznie się psuć od serca, zachowując pozory zdrowia — bo wtedy niema już dlań ratunku".

Czy my, pozwalając na szerzenie się pornografii, zejdziemy z piedestału czystości ducha, na której stulecia postawiły polską kobietę? Przenigdy!

My — chcemy
„Przechować nietkniętą tradycyę dziejową,
„I być narodu sercem — nie mogąc być głową".

A młodzieży akademickiej lwowskiej, chwała za odwagę urządzenia pierwszej ankiety antyrozpustniczej. Matki ich i siostry mogą z nich być dumne, gdyż historya psychologii narodów, zapisze ten fakt, jako pierwszy objaw idącego uzdrowienia i odrodzenia duchowego.

Ludwika Życka.



W setną rocznicę urodzin Szopena.

W Poznaniu utworzył się ku uczczeniu setnej rocznicy urodzin Fryderyka Szopena Komitet Przygotowawczy, który wydał następującą odezwę:

Rok, który niedawno dobiegł kresu, był dla Polski rokiem Słowackiego. Był dla nas *rokiem Słowackiego.* Był dla nas rokiem pokrzepienia duchowego, rokiem szlachetnych uniesień i idealnych porywów, rokiem święta narodowego, które obchodami godowymi uczciliśmy wszędzie, gdziekolwiek polskie biją serca i polska żyje myśl.

Rok Słowackiego minął, — ale te polskie serca i polskie umysły nie skłonne do złożenia godowych szat swych uczuć świątecznych i myśli podniosłych, bo oto nowe zbliża się święto narodu: w dniu 22 lutego sto lat mija od urodzin *Fryderyka Szopena*, jednego z największych geniuszów muzycznych świata, a bezsprzecznie największego geniusza muzycznego Polski.

Słowacki — Szopen: obcy sobie za życia, a przecież blizcy twórczym swym duchem; twórczość ich w odrębne przyobleczona formy — tam spowita w kształt słowa rymowanego, tu w ramę ujęta muzyki fortepianowej — a przecież twórczość Juliusza i Fryderyka z tak pokrewnych wyrosła pierwiastków, wyrosła z duszy wielkich tułaczów-romantyków, których los na obcą rzucił ziemię, a których serce stale przepojone było bezbrzeżną za krajem tęsknotą; z tej tęsknoty wytryskał strumień poezyi słowa u Słowieckiego, poezyi tonów u Szopena, — poezyi tchnącej, jak rzadko, która czarem subtelnego artyzmu i porywającej siłą i polotem swojej wybujałej, swojej — w najlepszym tego słowa znaczeniu — nieokiełznanej indywidualności.

Uczucia i wizye twórcze Szopena, przelane w fale pieśni fortepianowej, przemawiają językiem muzycznym, a więc zrozumiałym bezpośrednio dla obcych narodów. A geniusz twórczy Szopena ma taką siłę porywającą i przykuwającą, że nawet wówczas, gdy wypowiada się w Mazurkach i Polonezach, tak typowo polskich nietylko z ducha, ale nawet z formy muzycznej, przecież zdobywa sobie posłuch bezwzględny i bezgraniczne uwielbienie całego świata muzykalnego.

To też rzadko który polski geniusz twórczy miał i ma mimo swej istoty rdzennie polskiej — sławę tak międzynarodową, tak wszechświatową, jak Fryderyk Szopen, rzadko który tak jak On wsławił imię Polski przed forum całego świata cywilizowanego. Przeto chlubą On naszej chluby,



Odparcie Szwedów przez Potockiego.

dumą naszej dumy; a dziś, gdy zbliża się stuletnia rocznica Jego urodzin, społeczeństwo polskie gotuje się do uczczenia pamięci Mistrza w sposób godny wszechświatowej Jego sławy oraz Jego dla Polski znaczenia i wartości duchowej i moralnej. Wszak tylko skarłowaciałe i upadłe narody czcić nie umieją swych potentatów ducha i nie potrafią w nich widzieć swoich gwiazd przewodnich, co blasku nie tracą i nie gasną, choć burze dokoła i wichry!

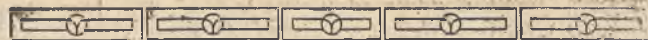
Nasza dzielnica — miejmy nadzieję — nie pozwoli się innym wyprzedzić w hołdzie, złożonym Szopenowi. Niedawno, na hasło wydane przez komitet Jubileuszowy im. Słowackiego, wyrwało się z piersi społeczeństwa naszego zaboru żywiołowe wołanie, niosące cieniom wieszcza daninę czci i uwielbienia, a rówocześnie świadczące, że poza wartościami materyalnemi umiemy cenić dobra moralne, idealne, choćby do niedawna jeszcze zapoznawane, że umiemy służyć ideom szczytnym, choćby najszczytniejszym. Apel, wzywający do uczczenia stuletniej rocznicy urodzin Szopena, odezwie się w dzielnicy naszej niewątpliwie równie głośnym i serdecznym echem i da niewątpliwie tak samo obfity plon duchowy, jak go dał rok Słowackiego.

W tem przekonaniu zwraca się niżej podpisany Komitet do społeczeństwa z gorącem wezwaniem, by cieniom Geniusza w ofierze złożyło najszlachetniejsze swe uczucia, myśli swe najwznioślejsze. Komitet ze swej strony dokłada starań, by w dniu 22 lutego urządzić obchód jubileuszowy w teatrze w połączeniu z iluminacyą kartkową, oraz odsłonięciem tablicy pamiątkowej w muzeum Towarzystwa Przyjaciół nauk. Oprócz tego przygotowuje Komitet wieczory artystyczne i literackie, poświęcone twórczości Szopena.

Równocześnie wyraża Komitet nadzieję, że towarzystwa w kraju i na obczyźnie nieśmiertelnym cieniom Fryderyka winny oddadzą hołd.

Komitet Przygotowawczy:

Bolesław Dembiński, prezes. *Stanisław Karwowski*, zast. prezesa.
Ludwik Broekere, sekretarz. *Tadeusz Schultz*, zast. sekretarza.
T. K. Bartkiewicz z Ostrowa. K. Barwicki. Bernard Chrzanowski. Ks. Szczęsny Detloff. Jarogniew Drwęski. Antoni Drygas. Halina Drygasówna. Mieczysław Eichstaedt. Mieczysław Fibak. Paweł Gantkowski. Ks. Wacław Gieburowski. Edwin Jahnke. Kazimierz Jarnatowski. Bolesław Marchlewski. Marya Paruszewska. Franciszek Schroeder. Maryan Sevda. Anna Suszczyńska.



Złote ziarna.

(Z Kraszewskiego).

Nie ten szczęśliwy kto bogaty, nie ten szczęśliwy, kto wielki, kto sławny, ale ten, kto umiał kochać jak Chrystus, jak Chrystus przebaczyć, jak On cierpieć.

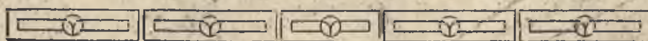
W ziarnie piasku są światy i świat z pewnego stanowiska jest ziarnem piasku tylko.

Rzeczy na świecie dzieją się wedle praw nieodmiennych. Liść zeschły spada; klasy społeczne nie spełniające posłannictwa giną i zlewają się z innymi.

Świat to gospoda, w której coraz nowy popasa podróżny i gdzie jeden się modlił, drugi przychodzi rozpustować i szaleć. Bolesne to nieuchronne.

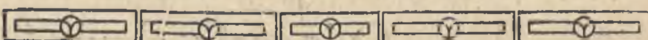
Świat stoi tą wielką więzią miłości, która go czyni całym i jedynym, a w czyim sercu jej niema, odpadło od wielkiej Bożej rodziny.

Najczystsze i najświętsze węzły świat rozerwać umie, najlepsi się psują, a najtwardsi mienią...



Wojenna służba dla kobiet.

Kolońska gazeta donosi, że z Londynu komunikują 15-stycznia r. b. iż generał Baden-Powell, bohater z pod Mafeking, postanowił powiększyć kadry armii, włączając do niej kobiety. Służba ma być nie przymusową, a ochotniczą. Nie do zabijania jednak będą w niej używane kobiety, ale pracować mają przy rozbijaniu namiotów, przy telegrafach i infirmeryi jako pielęgniarki, i przy polowych kuchniach. Pełnić będą musiały tę służbę z całą dokładnością wojskowego regulaminu. Ochotnicy mężczyźni, przeważnie młodzi chłopcy, którzy dotąd te czynności w wojsku spełniali, wcale nie radzi są nowym konkurentkom do zarobków.



NR 4

DZIAŁ POWIEŚCIOWY

TUŁACZE.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA.

PRZEZ

B. BOLESŁAWITĘ.

(Ciąg dalszy.)

Naostatek wszedł do ojca; pan Jakub siedział jak przybity, z głową spuszczoną. Podniósł ją gdy syn wszedł, na twarzy widać było smutek i troskę... podał rękę synowi wedle obyczaju i pocałował go nic nie rzekłszy.

— Nie ma ojciec nic do rozkazania?

— Nie, dziecko moje, niech ci Bóg błogosławi we wszystkiem.

Odwrócił się.

— Dobranoc.

Teraz już Karol leciał do swojej izdebki, gdzie na niego miał oczekiwać Staszek. Maleńkie juki wcześnie porobione były, ale pochowane pod łóżka. Trzeba jednak było czekać aż się wszystko uśpi we dworze, by konie po cichu wywieść ze stajni i niepostrzeżonym puścić się w drogę... a godziny wlokły się tak powolnie.

Pierwszy raz w życiu puszczając się w świat, jakże bije serce młode! Nie jest to bicie na trwogę, ale niepokój siły, która po raz pierwszy niecierpliwa spróbować się pragnie.

Karolowi paliła twarz, Staszek był smutny. Obraz matki, nie tej wielkiej macierzy wszystkich z rozkrwawionem łonem, ale starej jego matuchny zapłakanej stał mu przed oczyma; żal mu było spokojny kąt opuszczać, ale panicza by za nic nie opuścił.

Wszystko było gotowem.

Wyjrzeli oknem raz czy nie pogasły światła we dworze; paliły się świece u starego pana, widać było blask od okien Jejmości, na górze w okienku, u Ewusi błyszczało jeszcze... w sieni dogasał ogień na wielkim kominie.

Wśród ciszy ze dworu starego słyszeli, jak zegar wybił jedenastą.

Karol męczył się wyczekiwaniem i już chciał się w drogę wybierać, bo i suknie zmieniać musiał, gdy zastukało w sieni, drzwi niespodzianie skrzypnęły i wszedł — rozglądając się po izdebce Poremba.

— Cóż to? jeszcze nie w łóżku? — zapytał.

— Rozbieram się właśnie — rzekł, rzucając na prześladowcę prawie dzikie wejrzenie Karol — ale czemuż wy nie śpicie?

— Ja? at! głowę mi nabechtał szlachcic, prawiąc o konfederatach, że się spać odechciało. Pomyślałem sobie, zajrzę co też się tu u was dzieje, bom czegoś niespokojny...

— No? czegoż? o mnie? — opryskliwie spytał Karol.

— No, no, nie gniewajcie się — sza — no, nic, nic, paneńku — rzekł Poremba — at w starym czerepie lęgną się dziwolągi.

— Ale dajże mi spać — zawołał Karol.

— To też tylko dobrej nocy życzę.

Wyszedł wreszcie, Stach i Karol spojrzeli po sobie.

— Ten coś już zwąchał — zawołał gorąco Karol — idź ty mi za nim i patrz, czy się spać położy.

Minął dobry kwadrans, we dworze jeszcze ten i ów się kręcił... noc była choć ciepła, ale czarna i posępna, wiatr chwilami zawiewał nagle i znowu po nim cisza, jakby co przeleciało i znikło — kiedy niekiedy z pośrodka ponurych chmur błysła gwiazdeczka i zgasła.

Nareszcie na podwórzu, we dworze wszystko usnęło, światła z kolei po jednemu pogasły, tylko na górze u Ewusi ciągle jeszcze błyszczało. Karol zrzuciwszy odzież codzienną, przywdział kurtę, buty, pas, pistolety, szablę Saracenkę przypiął z uczuciem dumy do boku, ryngraf pod szyję, ręce mu się trzęsły... Staszek i on wzięli juki i cicho na palcach wysunęli się ze dworu.

Przechodząc dziedziniec obrócił Karol oczy na stary uśpiony dwór; zdało mu się, — ale to było złudzenie, — że z okna na górze cień jakiś się wysunął i ręka z chustką powiała... Nie! Któżby go mógł dojrzeć w tych ciemnościach?

W stajni, dziwna rzecz, konie zastali gotowe; nie wiedzieć kto je bez rozkazu posiodłał... to była zagadka.

Staszek, trochę po wiejsku przesądny, zląkł się. — Złą to czy dobrą było wróżbą?

Jeszcze kroków parę a między tym światem cichym, któremu zegar wybija powolne godziny, a nowym, dzikim, strasznym, nieznanym stanie przepaść nieprzebyta...

Dosiadłszy szpaka, odwrócił się Karol ku dworowi.

— Żegnajcie mi! żegnajcie! — zawołał w duszy — niech błogosławieństwo Boże spoczywa nad wami, kochany dziadzie, rodzice i ty — gwiazdeczko moja! Niech nic spokoju waszego nie zakłóci!

Rzucam wszystko dla Boga i ojczyzny... i nie wrócę! o! nie wrócę, chyba bezsilnym kaleką lub zwycięzcą... a może nigdy!!!

Spiął konia ostrogami i nie odwracając już oczów ku czarnemu dworowi, śpiącemu w drzew kolebce, rzucił się boczną drogą, dobrze znaną; dwa konie pokłusowały szybko, chrapiąc i parskając...

Wśród ciszy nocnej ucho starego wojaka, dziada Adama, pochwyciło tentent głuchy i znowu w tę stronę krzyżem gonił za zbiegiem.

— Błogosławieństwo Abrahama i Jakuba...

Powtórzył, łza srebrna spadła na siwą brodę.

Stało się! Jedynak ślubował życie ojczyźnie; stare gniazdo orle płaciło dług zaległy... Bóg miał czuwać nad jego losem.

Księga II.

I.

Lat cztery, cztery wieki targa się naród w narzuconych mu pętach.. są to lata epopei i cudów.

Cuda te poczęte jasnością wielką, spadają gdzieś, topiąc się jak meteory na trzęsawiskach i w błocie, jak gwiazdy spadające, które lgną w zatęchłych kotlinach.

Ludzie, co się porwali czynić te cuda, są jako ów apostoł, któremu do iścia po morzu wiary zabrakło — i tonie.

Po jasnych wstęgach bohaterstwa, czarne smugi niedołęztwa.

Polska jak słaniająca się niewiasta... ręce wyciąga ku postronnym.. o swej sile nie może stać, bo w nią nie ufa; nieprzyjaciołom ratować się każe, a ci ją czynią narzędziem swych intryg i frymarków... Czepia się słabszych od siebie.

Temu coby chciał odmalować te dzieje, ten obraz konania matki — mimowolnie pędzel zadrga w dłoni, zmieszają się rysy... za łzami mu nie widać nic...

W chwili gdy rozpoczynami opowiadanie nasze (dramat wiekowy) — wysiłek ludzi przysięgą związanych w Barze, już wyczerpywał się i zwiastował rychły ich upadek.

Pierwszem złowrogiem oznajmieniem jego była klęska Stołowicka, zadana przez tego, co się wprawiał, aby rzezią Pragi dopełnił swych przeznaczeń.

Zwyciężonym był człowiek, który do ostatniej godziny zwlekał odwagę, nie śmijąc wyrzec po jakiej staje stronie.

Z trzech stron spiskowali w milczeniu ci co kraj rozszarpać mieli. Resztki barskich żołnierzy i francuskich dowódzców, (bo nam i na wodzów nie stało) biły się jeszcze bez nadziei wygranej.

Radzić potrzeba było na obcej ziemi, bo w swojej kąta nie mieli bezpiecznego. Generalność nosiła się z Turcyi do Preszowa, do Cieszyna, do Białej, po węgierskich, szląskich i niemieckich potem grodach.

Wielka rozsypka narodowa już się poczynała, puszczali się wszyscy na żebraninę po Europie, po dworach, po gabinetach, po przedpokojach ofiarując Polskę za małą cenę, jako rzecz, którą chce dłużnik od wierzyciela wykupić.

Nikt nie chciał tego klejnotu, który blask swej idei utracił, dyament ten wydawał się szkłem przepalonem.

Na Jasnej Górze w Częstochowie, w tem miejscu co widziało cudowną obronę Kordeckiego, siedział jeszcze Kazimierz Pułaski... ale on jeden może z całego zastępu miał tę wiarę co Szweda krzyżem i modlitwą pobiła. I on nawet słabszym uwieść się dawał, i on znęcił się na porwanie króla-lalki z rąk Salderna w nadziei, że go konfederacya potrafi przerobić na prawdziwego pomazańca Bożego.

Wiedziano w istocie, że to był król, z którego każdy robił co chciał, płakał i śmiał się, byle go kto o to pięknie poprosił.

Naówczas odegrał się ten tajemniczy dramat w stolicy porwania, uwięzienia, ocalenia... rzuconej potwarzy królobójstwa na ohydzenie konfederacyi.

Pomięte koronki odchuchawszy król z uśmiechem zaręczał, że byłby, zawieziony do Częstochowy nawrócił elekokwencyą swą konfederatów, jak oni ręczyli, iżby byli przerobili króla.

W tej historycznej zagadce do dziś dnia jest ciemno... to pewno, że ona zwiastuje upadek związku, a posługuje wielce królowi w ręku Moskali.

Głucha przelatuje wieść, że część tej teatralnej historyi podrobioną była umyślnie, aby lalce — królowi wyzyskać oklaski, współczucie dlań obudzić.

Scenicznie to wygląda.

Warszawa tłumnie ciśnie się oglądać relikwie męczennika Stanisława Augusta — but, który z nogi mu się zsunął... zabłocone pończochy, zdarte rękawiczki, poszarpane koronki.

Ze łzami w oczach papugi całują te resztki gachowskiego stroju..., przyprawne dla tem większego efektu, trochą krwi z niewinnego utoczonej kurczęcia.

Tymczasem we Francyi, która już przysposobiła się być tą starszą siostrą Polski, jaką później została — zmienili się ludzie, potrzeby, kochanki i gorące współczucie dla biednego kraju.

Turcy także nie potrzebowali już posługiwać się barskimi rycerzami.

Rozbitki tułały się po Europie, nim dzwon ostateczną rozproszenia uderzył godzinę. Krasiński z Turcyi jechał do Waradynu, z Waradynu do Preszowa; Ogiński szukał spoczynku w Saksonii i wygodnego kąta u Niemców.

Ostatki konfederatów w walce z samemi sobą, stały patrząc nie w niebo, ale na ziemię.

Codzień rycerz ubywał, wódz odpadał, wygnaniec nowy się zjawiał, zwyciężony uchodził.

Brakło człowieka; najczystszego, Pułaskiego złamała i zgniotła listopadowa komedya z królem, Krasińskiego spór z Potockim, Zarembę strach o wioski i dwór.

Zwolna sznury wojsk przemożnych sąsiadów wpajały się w martwiejące ciało Rzeczypospolitej.

Takim był koniec 1771 roku i początek 1772, gdy długo wyczekując chwili pochwycenia za broń, Karol wreszcie nocą ubiegł z rodzicielskiego domu, ślubując życie ojczyźnie.

Dla niego dopóki stał w polu jeden żołnierz i trwał bój, była zwycięstwa nadzieja — młodem sercem nie liczył on wojsk, ale ufał w dobrą sprawę.

Byłaż kiedy na świecie lepsza? niegodziwiej zwalana i popsuta niezgodą i prywatą, tym trądem narodów zesłabłych.

W uszach mu jeszcze brzmiała owa pieśń zanucona u brzegów Dniestrowych przed czterema laty:

Dla kogoś panie wniósł Krzyż swój drogi?
Komużeś okup sprawił z męki srogiej

Z całą jeszcze siłą swą odzywał się do niego ów hymn:

Przebóg! kto czuje
Niechaj ratuje
Matkę ojczyznę...

Biegł więc jak zawołany choć opóźniony dłużnik, a gdy się raz wyrwał, całe swe życie poniósł na ofiarę, nie należał do siebie, ale do wielkiej macierzy.

Noc była czarna, posępna ale cicha... w powietrzu już zalatywało tchnienie wiosny... dwa konie leciały drogą, jakby przeciw losom biegły. W stronę ku Krakowu było najbliżej ale goścince przecięte... przedrzeć się trudno i niebezpiecznie...

Umysł młody wabiła Częstochowa, Jasna Góra z jasnym wodzem, chorągwią i nadzieją.

Tam by był chciał iść walczyć... ale jak się dostać przez snujące się kupy moskiewskiego żołdactwa, które po gościńcach plądrowały i chwytały? niewiedział.

Pobożne dziecko sądziło w dobrej wierze, iż ten Bóg, co mu dał natchnienie, powinien go był sam zawieźć na miejsce przeznaczenia jego.

Nie szukał więc przewodnika, było nim — serce wielkie. —

Zdało się Karolowi, że byle wyszedł w pole, duch co go natchnął, ręką niewidzialną ująć go miał i powieść na boje... konia nawet nie wiódł sam, bo go już zwierzył tej dłoni. —

Od tej chwili czwałował jakby snem ujęty... był w gorączce, żył marzeniem, przed którem przelękła rzeczywistość cofnąć się musiała.

Nie wiedział jak długo biegli i w którą stronę od Skały, gdy Stach przytomniejszy od swego pana, czując się zbłąkanym, przeląkł się o Karola. Kilkakroć starał się wykrzykiem cichym napróżno zwrócić jego uwagę. — Koń i jeździec czwałowali niepowstrzymani.

Wśród nocy ciemnej ledwie drożyny widać było. Karol czy koń jego wybierał zawsze najmniej dostępną, najdzikszą, jakby chciał uniknąć pogoni za sobą.

W istocie Karol podejrzewał, że podejrzliwy Poremba musiał czatować i mógł gonić, dopaść, odprowadzić: myśl sama krwią mu twarz oblewała, czoło sromem.

— Panie, panie! — odezwał się wreszcie Stach po długim biegu, zaczynając się rozpatrywać w okolicy — panie! panie wszak to my zajechaliśmy gdzieś pod Ojców ku Pieczarom... a nam trzeba było pono gdzieindziej...

W istocie wśród ciemności nocnych ukazujące się skały coraz wyższe, zwiastowały górzystą okolicę... Karol odwrócił się, nie wstrzymując konia, obejrzał nic nie widząc i westchnął.

— Gdzieindziej — rzekł — tak, może chciałem w inną stronę, ale Bóg nas gdzie każe poprowadzi. Co się ma stać z Jego woli, to się stanie... Co mi tam... byłem na chorągiew swoją i braci mógł trafić! pierwszy lepszy wskaże nam gdzie jej szukać. — Powiedz mi lepiej czy daleko jeszcze do dnia... długo nas jeszcze ta ciemność oślepiać będzie?

Stach, wiejskie dziecko, przywykłe zegara dnia i nocy szukać na niebie, po gwiazdach i zorzach szukać godziny, popatrzył w niebo o ile chmury i las dozwalały.

— E! chyba jeszcze do dnia daleko! zawołał: po północy ledwie, konie okrutnie zhasane... Drugie kury jeszcze nie piały...

Tych słów domawiał gdy konie się nagle żachnęły i głos zabrzmiał nad uchem.

— Stój! kto jedzie? Hasło?

— Hasło! hasła nie mamy, — zawołał Karol z wybuchem radości. — Hasło! na co mi hasło! hasłem Polska i Marya:

— Skądże jesteście? z jakiego oddziału?

— Z żadnego jeszcze... ale jutro będę należał do waszego, jeżeli wy należycie do konfederacyi, — rzekł Karol. Jadę się zaciągnąć. Prowadźcie mnie do obozu.

Niewidzialna ręka w ciemności schwyciła konia u pyska...

— Zobaczymy! — odezwał się głos, — za mną! do obozu.

— Nie ręka-ż to Boża mnie prowadzi? — wykrzyknął Karol! z coraz rosnącem zapałem.

Przewodnik nic nie odpowiedział, szedł spiesznie, konia z jeźdźcem wiodąc za sobą.

Niecierpliwe chłopię próżno mu zadawało pytanie, niewidzialny ów żołnierz milczał lub pomrukiwał coś niezrozumiale.

Chwilami zdawało się że idąc kończył jakąś rozpoczętą wprzódy modlitwę.

Wszystko to cudem świeciło dla Karola. — O mój Boże! — powtarzał, — wiedź mnie jakoś na chwałę twoją i Polski.

Stach trochę więcej strwożony, niespokojny, jechał za panem milczący.

Gdy się na pagórek nieco wdrapali, a jaśniejsze niebo ukazało, przewodnik malował się na nim barczysty, szerokich ramion, zbrojny, z czapką, po której poznać było można konfederata... Nad barkami sterczała mu strzelba i lekkie drzewce z proporczykiem.

Lecz zaraz spuścili się znowu w gęstwinę czarną i ścieżyną wązką drapali pomiędzy skałami, aż stanął niewidzialny strażnik i dał hasło.

— Jezus, Marya, Józef.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



NAD SZPREWĄ.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

Jest on jak opóźniony skrzypek... co instrumentu nie mógł do orkiestry nastroić. Rozmowa była dosyć już wybujałą, gdy gwardzista wpadł na nią z brukową kroniką i piękne kwiaty stratował bez miłosierdzia. Wszyscy zamilkli i sam on zmiarkować musiał, że zaintonował fałszywie. Ocaliło go pieczyste, które mu postawiono wraz z kieliszkiem madery i szampana.

Radzca przysiadł się do niego... został pastor; kupcowa, kuzynek szukający cienia, Helmina, Hänschen i Wolski wysunęli się do salonu, gdzie uproszona do fortepianu piękna panna zanuciła głosem sympatycznym i pełnym wyrazu Schumanowską pieśń:

Mein Herz ist betrübt,
Ich sag' es nicht —
Mein Herz ist betrübt um Jemand...

Wdzięczny głos zabrzmiał po salonie... a po pierwszej piosence nastąpiła druga Schuberta a potem jakaś fantazya na fortepianie.

Wolski, który bardzo lubił muzykę, choć zajmować się nią nigdy nie miał ani sposobności ani czasu, czuł się do głębi poruszonym tym dźwiękiem dziewiczych piersi, który rozbudza w sercu wszystkie śpiące marzenia.

Helma śpiewała jak mówiła bez przymusu, z prostotą, naturalnością, która śpiew jej jeszcze milszym czyniła.

Ile razy słowa i muzyka potrąciły o wiekuistą ludzką tęsknicę... brzmiała pieśń wyrazem głębokiego uczucia.

Zdawało się, że temu szczęśliwemu dziecięciu radzcostwa komercyjnych, dziedziczce stu tysięcy bitych talarów pruskich, otoczonej wszystkiem, czego tylko mogła zapragnąć — brakło jednak wśród prozy żywota, oprawnej w suto złocone ramy czegoś, coby w sercu i duszy czyniło zadość.

W pieśni najmniej było wesela.

Baron von Liebenthal, który zawsze odgrywał rolę entuzyasty przy muzyce Helminy, tym razem jeść musiał kotlety z akompaniamentem śpiewu zdala od ideału... i rozmawiać z radzcą komercyjnym o nierozsądnem wznoszeniu się cen na wiktuały i paszę dla koni.

Wolski zapomniał zupełnie o godzinie, w salonie nie było widomego zegara. Obiecywał sobie nie przesiadywać nad dziesiątą. Klucz od głównych drzwi miał wprawdzie w kieszeni, ale pieszo potrzeba było iść ogromny kawał drogi.

Muzyka się przeciągała — spojrzał ukradkiem na swój srebrny, skromny zegareczek, nie odpowiadający ubraniu i przestraszył się, bo wskazywał już pół do jedenastej.

Hänschen, który to dostrzegł, szepnął mu na ucho, żeby się nie spieszył i nie frasował, bo — choć deszcz począł lać jak z wiadra — każe mu doróżkę sprowadzić.

A! w istocie doróżka dla pożyczonych sukni stawała się nieuchronną — ale kasa — kasa Wolskiego jakże strasznie ucierpieć musiała. W ostatnich dniach od tego nieszczęśliwego wypadku zapożyczył się był u Richterowej do dziesięciu talarów... a zkąd było wziąć aby jej oddać? Matce od ust odejmować? Wolski wolałby był głód cierpieć niż prosić ją wiedząc, że mu i tak daje więcej niż może, sobie na starość, przy chorobie nie zostawiając nic nad nieuchronnie potrzebny chleba kawałek.

Smutne te myśli przeciągnęły jak chmura... nowa piosnka ozwała się i Kajetan zapomniał o wszystkiem.

Czarodziejka nakoniec wstała, przyszła do niego i zaczepiwszy go o coś chodzić z nim zaczęła po salce.

Byli sami, bo Hänschen poszedł do barona. Helmina z poufałością niemal dziecięcą usiłowała się zbliżyć do Wolskiego.

Udało się jej to łatwo, oczarowała biednego chłopca... ożywił się i przez ten krótki przeciąg czasu dał jej się poznać lepiej. Zdawała się tego pragnąć.

Spytała go o rodzeństwo.

Wolskiemu nie wiedzieć, dlaczego pilno było wypowiedzieć wszystko o sobie i nie zwodzić jej ani swem baronostwem ani elegancyą. Przed nią w pożyczanych nie chciał stawać piórach.

— Mam tylko matkę — rzekł żywo — dobrą, drogą, ukochaną matkę... jestem ubogim sierotą. Nikogo więcej na świecie... Dla niej więcej niż dla siebie chciałbym co prędzej dobić się czegoś na świecie... niezależności. Tytuł, który mi tu państwo łaskawie dawać raczycie, nie należy mi wcale. Jestem szlachcicem polskim jak tysiące innych. Rodzina moja była uboga, a w ostatnich czasach i z tegośmy wiele stracili. Nadzieja matki na mnie... a moja w pracy.

Helmina słuchała, nie zdając się wcale rozczarowaną.

— I obrałeś pan sobie medycynę? — zapytała.

— Tak pani, bo przez nią ludziom być można użytecznym, wiadomości nabywa się wiele, a doktór jest najpotrzebniejszy i najłatwiej mu na skromny kawałek chleba zapracować.

Panna spojrzała nań z żywem zajęciem

— Jaki to urok ma dla mnie — odezwała się — ta śmiała walka z losem, to dobijanie się przyszłości o siłach własnych...

Gdybym była mężczyzną — wolałabym takie położenie niż gotowy chleb i los. Jest coś godnego człowieka samemu sobie przyszłość i położenie w świecie stworzyć.

— Tak — dodał Wolski — i ja to czuję — lecz jeśli się do tego łączą ofiary i niepokój tych, których się kocha — pragnęłoby się dojść co prędzej do mety.

Panna spytała go, gdzie mieszka matka, troskliwie zaczęła go badać o jej zdrowie, o wiek... Zajęło go wielce to okazane mu współczucie.

W przeciągu pół godziny zbliżyli się i poznajomili, możnaby powiedzieć, spoufalili więcej niż całego wieczora.

Helmina miała czas jeszcze szepnąć mu, żeby o nich nie zapomniał, żeby przyjaźń zachował dla jej Hansa.

— Hänschen — rzekła — dobry, poczciwy chłopak, ale mu życie płynie łatwo i on je z braku walki często tak szalenie wyzywa, jak tego dnia, który pan o mało nie przypłaciłeś życiem... Wpływaj pan na niego — zbliż się — stań mu się przyjacielem — serce ma dobre...

W czasie tej miłej rozmowy baron dojadł wieczerzy, dopił wina i całe towarzystwo wyszło do salonu...

Wolski niespokojny chwycił za kapelusz.. Hans kazał mu się jeszcze zatrzymać, pókiby nie znaleziono dorożki... bo deszcz lał ciągle.

Na ogólnej już rozmowie upłynął ten kwadrans ostatni...

Hans skinął, iż dorożka stała u drzwi, Wolski jak najczulej pożegnał gospodarzy, dziękując im, oni jemu, Helma podała mu rękę, zapraszając głośno, aby ich odwiedzał często, co rodzicom może nie bardzo było do smaku... i Wolski znalał się w przedpokoju...

W tejże chwili baron von Liebenthal, wyszastawszy się i wykłaniawszy, wyszedł także, narzucił płaszcz na ramiona i poświstując wyszedł przodem.

Gdy Wolski przebywszy trochę ciemne wschody, znalazł się na dole — w porę właśnie nadążył, by usłyszeć, jak siedzący w jego dorożce gwardzista komenderował woźnicy.

— Dorotheenstrasse 21.

Dorożka zaturkotała, a Kajo został bez parasola na deszczu myśląc, co ma począć nie z sobą, ale z garderobą Ryszarda.

W trzy miesiące po opisanych wypadkach Wolski siedział wieczorem przy lampie w swojej izdebce zadumany... ziębły mimo odzieży, którą się obwijał — blady i smutny.

Przed nim leżała roztwarta Fizyologia i notatki do niej, ale na rozrzuconych kartkach widać było roztwarty list, na którym spoczywały jego oczy wlepione nieruchomie — list kobiecą pisany ręką — po niemiecku...

Drobnym i pięknym charakterem jak sznureczkami plecionemi udatnie zasypana była cała ćwiartka na wszystkie strony, ćwiartka welinowa, biała, lśniąca, na której górnym brzegu misternie związana cyfra łączyła w sobie dwie głoski W. i R. szlachecką pokryte koroną.

Kajetan czytał i odczytywał zadumany, pogrążony, smutny jak noc... smutny jak dzień pogrzebowy.

W okna bił wicher wczesnej wiosny, która się jeszcze mogła zimą nazywać... w domu panowała cisza ponura... w izdebce przejmujące zimno jak na dworze, a od okna chwilami dął jeszcze chłodniejszy wiatr.

Dość było spojrzeć na Wolskiego, ażeby odgadnąć, że mu na świecie było tak strasznie ciężko, tak okrutnie smutno, tak nieporatowanie rozpaczliwie źle, że nie wiedział, co pocznie z sobą. Siadał na chwilę, patrzał na ten list, czytał go, odsuwał, chodził znowu, naostatek schowawszy go do szufladki stolika rzucił się w róg starej sofki, podparł na dłoni i zadumał.

Stuknięcie do drzwi, którego się nie mógł spodziewać, bo wprzódy daleko słychać było chód po wschodach, ale tego nie uważał zamyślony

Kajo, — przestraszyło go tak, iż się zerwał cały drżący i chwycił za głowę.

Wzrok jego padł naprzód na stolik, bo nie był pewnym, czy list schował — i dopiero słabym głosem chciał się odezwać, aby wszedł ten gość wieczorny... gdy nie czekając pozwolenia wtoczył się płaszczem obwinięty garbus.

— A niechże ich z tym berlińskim klimatem! Na podwórzu choć psy goń! Ale ba! i u ciebie widzę nie palono... czy co?

— Nie palono... późno... wkrótce pójdę spać — węgla nie ma... kłopot... dzwonić... prosić.. — rzekł Wolski.

Garbus nie zdejmując ani kapelusza ani płaszcza, wzdychając usiadł na stołku. Popatrzał na towarzysza i głową pokiwał.

— Coraz gorszy z ciebie desperat — rzekł. — Proszę cię, powinienbyś ze mnie brać przykład. Nie mogę tego zataić przed sobą ani przed światem, że jestem odrobinę garbaty... jestem goły — nauka mi idzie nierównie ciężej niż tobie... żadna Niemka (tu chrząknął) nie zakochała się we mnie, coby mi mogło urozmaicać przyjemnie egzystencyę, mam długi, perspektywa egzaminu nie pocieszająca — a spojrz że na mnie, wyglądam raźniej i weselej od ciebie.

Pfe! pfe! i dziesięćkroć pfe! Należeć chcesz chyba do tej kasty ludzi, którzy żywota nie widzą i nie czują nic jak jego nędzę. Zgadzam się na to, że życie najpiękniejsze ma zawsze damoklesowy miecz zawieszony nad sobą, ale jak skoro jest co nieuniknionem, człowiek rozumny i silny oswaja się z tem i nie stęka.

Stękanie na nic się nie zdało, a nudne jest dla drugich i dla siebie.

To dziecińAbout.

Dzieci tylko płaczą i lamentują, mężczyzna szuka środka do zaradzenia złemu, a jeśli go niema, po rzymsku zawija się w płaszcz i powiada losowi z pozwoleniem — kpie losie, bij — i niech cię kaci porwą. Możesz bić, ale jęku mojego nie posłyszysz.

— Alboż ja jęczę? — odezwał się Kajo.

— Twarzą, postawą, oczyma — powiadasz, żeś nieszczęśliwy, a nieszczęśliwym być nie powinieneś.

Wolski się gorzko uśmiechnął, założył ręce na piersiach.

— Cóż dalej? — zapytał.

— Żal mi cię — rzekł garbus — mówmy otwarcie, z kościami mnie znasz, spodziewam się, że w przyjaźń moją wierzysz, a zwierzyć mi się z żadną swą biedą nie chcesz. Chociaż żaden z nas nie łatwo słucha kogo... zawsze lżej radzić we dwóch i podzielić się goryczą. Mów, co ci jest, bo jak nie powiesz... zgadnę.

— Ciekawym! — rozśmiał się Wolski i przeszedł z głową spuszczoną po pokoju.

— Nie wyzywaj, powiadam ci, mam oczy ostrowidza. Zgadnę...

— Cóż możesz odgadnąć? co! że nie mam ani grosza? że mam długi? że w piecu nie palę, bo węgla niema za co kupić?

— To są wszystko kurae posteriores — odezwał się Wojtuś — z tegobyś ty się śmiał jak ja.

To mówiąc wstał, zniżył głos i począł seryo.

— Na sercu mi leżało od dawna, żeby się rozmówić z tobą. Czekałem, ażebyś ty rozpoczął, lecz widzę, że do tego nie przyjdzie nigdy — muszę sam palce włożyć między drzwi — ale z dobrej woli, żeby cię ratować. Nic mi nie potrzebujesz mówić, nie szpiegując wcale, łacno się było domyśleć wszystkiego. — Zrobiłeś jedno pierwsze głupstwo, żeś niepotrzebnie skoczył w wodę Niemca ratować! Co się było mięszać nie w swoją sprawę? Zatem poszło, żeś się z całą dostojną poznał rodziną, że w rodzinie znalazła się bardzo piękna panna. Nie przeczę, piękna, mówią, że rozumna, przypuszczam, że anioł dobroci — ale — Niemka.

Grzech pierworodny nie zmazany nigdy i niczem... Zakochałeś się w niej, zakochała się w tobie i brniesz po uszy w sentymencie, z którego na suchy brzeg nieskończenie trudniej niż z mętnej i smętnej Szprewy. Hier liegt des Pudels Kern.

Rodzice panny świeżo uszlachceni i bogaci córki takiemu jak ty biedakowi nie dadzą; matka którą kochasz, gdybyś jej, nie wiem, jak bogatą przyprowadził synową, nie umiejącą po polsku, będzie rzewnemi płakała łzami... ty sam nie wiesz, jakby ci było wchodząc w ten świat, którego nie znasz, z którymbyś związać się musiał, a który ci nie przebaczy tego, żeś się urodził Polakiem. Oto twoje położenie...

— Zkądże wiesz? jakże możesz... — przerwał gwałtownie Wolski.

— Nie zaprzeczaj mi, tak jest — dodał Wojtuś. — Co się nawarzyło, trzeba wypić. Ale w położeniach tego rodzaju na heroiczne lekarstwo zdobyć się potrzeba... Napisać rozpaczliwy list z pożegnaniem do pięknej panny, zapakować tłumoczek i przenieść się z resztą medycyny do Halli lub do Lipska, aby pokusę z oczu stracić...

Wolski słuchał — westchnął, milczał chwilę... z trudnością dobyło mu się wreszcie z piersi:

— Rozpaczliwe położenie...

— Tak! nareszcie się przyznajesz...

— Ale ja ją kocham — zawołał Kajo gorąco — ale ona mnie kocha — nasze dusze się rozumieją.

— Wiem, wiem... wiem... daj ty mi z tem pokój... stare to dzieje... będzie bolało, lecz lepiej odboleć chwilę, niż męczyć się całe życie. Na co to roić próżno? Wiem od Hänschena, który mi to nie pytany powiedział, że rodzice przyrzekli siostrę jego baronowi Liebenthal... tobie jej nie dadzą.

Masz z Niemcami do czynienia — pamiętaj. Gdybyś pannę wykradł, zrobią ci proces i wsadzą do cuchthauzu, pannę bądź co bądź odbiorą i jutro baron się z nią ożeni... a matka umrze z żalu i ze wstydu.

Wolski milczał znowu... począł się przechadzać po pokoju.

— Masz słuszność — odezwał się ochrypłym głosem po chwili — masz słuszność — rozum mówi przez twoje usta... ale rozum bywa głupi... gdy idzie o serce.

— Pięknie powiedziano, ale nie do rzeczy — ozwał się uparty Wojtuś. — Rozum trzeba mieć zawsze. Jeszcze jedno przypuszczenie. Wykradasz pannę... Baron Liebenthal zrzeka się raz już kradzionej, rodzice ci ją zostawiają — lecz... radzca komercyjny — na to jest radzcą i komercyjnym, ażeby rachował, zyskuje na tem posag panny i zostawia was waszemu szczęściu sielankowanemu bez złamanego szeląga. Co dalej? panna czyta, gra i śpiewa, ale szyć ani na machinie, ani bez machiny nie umie... istota idealna... Ty jeszcze nie masz patentu i marzniecie oboje w nieopalonej izbie, co doświadczona rzecz, wymraża wszelką miłość najidealniejszą.

Szybko skończywszy mówić Wojtuś, który zmarzł, bo w izdebce było zimniej może niż na dworze, począł chodzić i trzeć ręce — parę razy się wzdrygnął i nie mówiąc słowa ani się żegnając wyszedł.

— Wracam natychmiast — rzekł w progu.

Wolski jak stał z założonemi rękami w środku pokoju, ze zwieszoną na piersi głową tak pozostał — zdawał się skamieniały.

Po krótkiej chwilce powrócił Wojtuś, a za nim służąca z koszykiem węgla, a za służącą chustką wełnianą otulona Richterowa.

— Otóż to widzi Herr von Wolski, na co mnie... compromittirt. Ludzie pomyśleć, że ja panu nie chcę kredyt dać na jedny mizerny Korb Steinkohlu. Pan jest niedobry... pan jest niewdzięczny, Herr von Wolski... jak można z pańskie zdrowie chcieć marznąć... a mnie taki Kummer zrobić...

Wolskiego ten czuły macierzyński głos poruszył, zbliżył się chwytając za rękę panią Richterową.

— Pani szanowna — rzekł — ja i tak nadużywam dobroci waszej, jestem wam dłużny...

— No to co? to mi pan kiedyś to oddasz — poczęła gestykulując żywo gospodyni. 's geht nischt!.. pfuj! To jest nie ładnie...

Zbliżyła się do pieca szepcąc coś służącej i wyszła.

W piecu zaczynało się już palić... była choć nadzieja, że się kiedyś ociepli, a że piec był starożytny, żelazny, nie potrzebował nawet na to wiele czasu.

Milczący jakiś czas stali przeciw sobie towarzysze, Wolski popatrzał na garbusa, wziął go za rękę i nie mówiąc słowa uścisnął ją.

— Poczciwy, dobry Wojtusiu... nigdy nie ratuj tonących z wody i tonącym jak ja nie podawaj ręki... bo co przeznaczone... to nie minie.

— E! co ma wisieć nie utonie! — rozśmiał się Wojtuś — bądź dobrej myśli — kochasz się — przekochasz... Miłość jak wszelka choroba przechodzi, niezmiernie rzadki wypadek, ażeby przeszła w stan chroniczny... Patologia uczucia naucza tej prawdy. — Jesteś młody.

— A to moja pierwsza miłość!

— Wiem, taka bywa najstraszniejsza, gwałtowna, lecz — wierz mi — najkrótsza... Znowu się zwrócę do teoryi, ogólne prawo bytu — co silne to krótkie.

— Tego prawa nie znam... nego!

— Uczy cię go proste wpatrzenie się w świat... a mów, co chcesz, prawa bytu i fenomenów są ogólne i jedne.

— Tak — mówił cicho Kajo — można przekochać się ale można i umrzeć.

— Jak Werther i Kleist... zgadzam się na to. Ale jabym takich kochanków chował na cmentarzu przy domu waryatów. Miłość jest tak wyśmienitą rzeczą, że kochać się, nawet bez nadziei, dla samej satysfakcyi kochania... nieopłacone szczęście, a ci zabijają się dlatego, że... osły!!

„Płomień ich nie może być uwieńczony“.

Osły!! Samobójstwo takie jest zaprzeczeniem miłości samej lub dowodem, że to nie była miłość, ale fiksacya.

Kochaj się i — nie mówmy o tem. Niech Wilhelminę wydają za barona — ty się kochaj — niech żyje z nim... ty się kochaj, — póki tylko możesz się kochać.

— A! — westchnął Wojtuś, smutnie kiwając głową — gdybym ja umiał i mógł się kochać — w kim chcesz — w mężatce, mniszce, pannie,

wdowie, rozwódce, osobie stanu nieokreślonego i określić się nie dającego, byłem się kochał... ale — nie mogę.

Mimowolnie zaczął się śmiać Kajo... choć był smutny.

— Dla czego? — spytał.

Wojtuś wskazał swój garb.

— Na co mi się to zdało, kiedy żadna w świecie nie może mi „wypłacić się wzajemnością“. Jestem skazany na wiekuisty post serca.

Garbusowi zdawało się, że powinien był przyjaciela rozweselić i czarne jego myśli rozpędzić.

Spojrzał nań, Wolski stał znowu pogrążony i jakby już nie wiedzący, co mówili i z czego się uśmiechnął przed chwilą.

Westchnienie głębokie wyrwało mu się z piersi.

— Wiesz — zawołał — wypowiedziano mi dom. Scena była przykra — jeszcze mi się zimno robi, gdy o tem pomyślę... Helma kazała mi przyjść pod jakimś pozorem... wiedziałem, że tam na mnie złem patrzą okiem posądzając, że nikczemnie korzystałem z ich obowiązków, jakie mają dla mnie, aby nie o córkę, ale o posag jej się starać.

Cóż chcesz! ma to pozór taki w istocie! Jestem ubogi — ona bogata! Bóg widzi, że ile razy przyszło mi próg tego domu przestąpić, dreszcze przechodziły po mnie. Lecz Helma kazała, dla niej rzuciłbym się w ogień.

— I rzuciłeś się w istocie — w piekło... — mruknął Wojtuś.

— W przedpokoju — kończył po cichu Wolski... — spotkał mnie pan radzca, sztywny, zimny, gniewny. Zobaczywszy mnie, nie mówiąc słowa — ręką wskazał mi drzwi swojego gabinetu. Domyślałem się, co mnie czeka. Weszliśmy. Stary otworzył drzwi od drugiego pokoju, aby wyjrzeć, czyśmy sami. Nie prosił mnie siedzieć, — zbierał się widocznie na wystąpienie urzędowe. „Musimy się z panem rozmówić — rzekł w ostatku odetchnąwszy. — Widzi pan, jestem ojcem, mam obowiązki. Nie mogę zaprzeczyć, żeśmy panu wiele winni — starałem się część mej wdzięczności okazać mu, wyrabiając oznakę honorową, której pan, widzę, nigdy nawet nie nosisz.

Pan uczęszczałeś do mojego domu, który dlań był otwarty... ale się nie godziło z tego korzystać, aby mi córkę bałamucić. Tak! tak jest, bałamucić, powtórzył, widząc, że mu chcę przerwać — nie mogę tego inaczej nazwać jak bałamuceniem, bo — widzi pan, trudno przypuścić, abym ja mógł córkę moją, której sama edukacya kosztuje z piętnaście tysięcy talarów, wydał za studenta medycyny.

Sam pan mówisz, że nie masz nic, nawet tego baronostwa. Jakże to może być! jak to może być, abyś pan sobie to wyobrażał. Byłbym ostatecznie głupim i wyrodnym ojcem, bez wnętrzności dla własnego dziecięcia.

Więc, widzi pan, dokończył, Wilhelmina wychodzi za barona Liebenthal, który odebrał znaczną sukcesyą i wkrótce będzie majorem.. byle wojna, pułkownikiem. Niechże pan jej nie kompromituje.

Milczałem jak słup stojąc.

Wiesz pan co, dodał radzca, nie jestem człowiekiem bez serca, chcę panu okazać wdzięczność moją...

Tu się zawahał.

Pożyczę panu na prosty rewers bez procentu tysiąc talarów, abyś spokojnie dokończył nauki w Getyndze, w Bonn, gdzie pan chce.

Usłyszawszy to odskoczyłem jak oparzony, skłoniłem się panu radzcy i wyszedłem.

Wojtuś słuchał z wielką ciekawością oddech wstrzymując, tak go to zajmowało.

— Zdaje się — dodał Wolski po chwili — że mimo wyglądania radzcy Helma była pode drzwiami i całą rozmowę słyszała.

— Ha! tak... — mruknął Wojtuś — ale dla czegoż się tego domyślasz?

— Wnoszę z jej listu.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wkrótce rozpoczniemy druk trzeciej bardzo zajmującej powieści.

DZIAŁ KOBIECY.

Dziecko w świetle hygieny.

Odżywianie dzieci w wieku szkolnym.

W poprzednich naszych pogadankach omawialiśmy obszernie sprawę pielęgnowania niemowlęcia i starszego dziecka — przyczem poświęciliśmy nieco więcej czasu kwestyi odżywiania, na którą matki, niestety, zbyt mało zwracają uwagi. Z całego szeregu artykułów dowiedziały się Sz. Czytelniczki, jak odżywiać niemowlę, jak karmić dzieci starsze — nie mówiliśmy jednak nic jeszcze o tem, jak odżywiać dzieci w wieku szkolnym. O sposobie więc odżywiania dzieci w wieku szkolnym mówić będziemy dzisiaj, zamykając tym artykułem rozdziały o odżywianiu.

Wiemy, że w życiu każdego dziecka następuje zupełny przewrot z chwilą, gdy je oddajemy do szkoły. Dziecko, przyzwyczajone do bezwzględnej swobody myśli i czynu, spędzające większą część dnia na zabawie, staje się od razu zależnem od rygoru szkolnego: prawda, że i przedtem uczy się w domu w pewnych określonych godzinach, nie ma to jednak tego charakteru, co w szkole, gdyż swoboda ruchów i myśli przeziera przez rygor nauki domowej.

W szkole trzeba, niestety, siedzieć kilka godzin w zamkniętym pokoju, trzeba uwagę swoją skupiać na danym przedmiocie, myśleć w danym kierunku. To wszystko połączone jest z pewnem natężeniem umysłu, które poprzednio było zupełnie obce dziecku; jednocześnie szkoła stawia i czynności ciała w odrębnych warunkach; mam tu na myśli naprężenie mięśni (czytanie, pisanie).

Na zajęciach jednak w obrębie szkoły rzecz się nie kończy — dziecko powraca do domu z całym zapasem „lekcyi na jutro“, które odrobione być muszą; praca mózgowa trwa więc w dalszym ciągu w domu — tak, że dziecku w wieku szkolnym, po odbyciu obowiązkowych zajęć w szkole i odrobieniu zadanych lekcyi, z dawnej swobody niewiele pozostaje. Czy i w jakim stopniu uważam to za niezgodne z zasadami hygieny, mówić tu o tem nie będę; chodzi mi tylko o zaznaczenie zmiany warunków w życiu dziecka, zaczynającego uczęszczać do zakładów naukowych. Ażeby wyraz „dziecko“ nie wprowadzał w błąd Sz. Czytelniczek, nadmienię, że w pogadance tej mam na myśli dzieci od 9-go roku życia.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że szkoła wywiera wpływ ujemny na rozwój ciała dziecka. Punkt ciężkości spoczywa na rozwijaniu umysłu, chociaż i tu dalecy jesteśmy od ideału.

Powietrze, w którem dziecko przez kilka godzin przebywa, nie jest jednem z najlepszych. Procent kwasu węglanego zazwyczaj przewyższa normę. Dodajmy do tego gazy, pochodzące z wydzielin skóry i innych części ciała, kurz z powodu nagromadzenia dużej ilości dzieci w klasie, a będziemy mieli pojęcie o powietrzu, jakiem dziecko oddycha; często, np. w zimie, zanieczyszcza jeszcze powietrze w klasie gaz lub oświetlenie naftowe. Prawda, że pokoje te wietrzone bywają podczas przerw między lekcyami — te jednak są zbyt krótkie, by powietrze mogło się dokładnie przez ten czas oczyścić.

Wiemy dziś, że praca mózgowa (często jej nadmiar), połączona z wdychaniem zepsutego powietrza, jest przyczyną wielu niedomagań dzieci, i tak zwanych „chorób szkolnych“ (niedokrwistość, różne zaburzenia nerwowe i t. p.)

Tak więc różne cierpienia młodzieży szkolnej wypływają ze złych warunków, w jakich się młodzież w szkole znajduje. Złym wpływom staramy się przeciwdziałać za pomocą różnych środków np. ćwiczenia ciała, możliwie częste przebywanie na świeżem powietrzu podczas roku szkolnego, podczas wakacyi wyjazd na wieś do lesistej i bogatej w roślinność miejscowości, głównie zaś *proste i obfite pożywienie,* podawane w ściśle określonych godzinach.

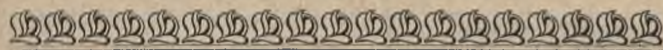
Pożywienie powinno być obfite, obfitsze nawet, niż dla dorosłego. Organizm dorosłego potrzebuje tylko tyle pożywienia, by straty, spowodowane pracą umysłową lub fizyczną, pokryć; dzieci w wieku szkolnym wymagają nadto pożywienia dla rozwoju ciała. Potrzeba obfitszego pożywienia w wieku szkolnym jest również większa, niż u dzieci w pierwszych latach życia.

Źle odżywiane dziecko, uczęszczające do szkoły, staje się wkrótce bladem, mało odpornem na zewnętrzne wpływy, popada często

w stan rozdrażnienia, źle sypia, cierpi na migrenę i traci nietylko wszelką ochotę, lecz i zdolność do pracy.

Pożywienie prócz tego *powinno być proste* (lekkostrawne, nie podniecające), z pewnemi wszakże urozmaiceniami, uwzględniającemi smak dziecka. Nie należy też przymuszać do potraw, których dzieci nie znoszą (jeżeli nb. to nie są grymasy). Nie trzeba ciągle dawać mięsa; urozmaicać należy pożywienie potrawami mlecznemi, jarzynami, owocami. Unikać pikantnych przypraw (papryki, octu, pieprzu i t. p.), jako podniecających przewód pokarmowy, nerki oraz układ nerwowy. Przed obiadem nie podniecać apetytu przekąskami — nie trzeba bowiem, „otwierać apetytu niewłaściwym kluczem", jak mawiał pewien lekarz francuski. Słodycze mogą dzieci jadać, lecz tylko po pewnym posiłku i to w określonej ilości. Cukier potrzebny dla ustroju lepiej dostarczać pod postacią chleba, jarzyn, owoców i t. p.

Dr. med. Matylda Biehler.



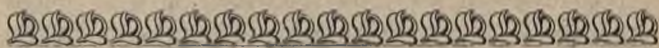
Z postępu społeczno-gospodarczego.

Córka miliardera na czele strajku. W Nowym Jorku wre od ostatnich dni listopada 1909 r. zacięta walka zarobkowa, w której krawcowe bluzek pragną uzyskać polepszenia płacy. Walka ta znamienną jest z tego powodu, że wyzyskiwanym przez pracodawców krawczyniom przyszły z pomocą koła konsumentów, a zwłaszcza najbogatsze familie Nowego Jorku. Ruch ten zarobkowy objąć miał ogółem 40000 szwaczek, z których 14 tysięcom udało się już uzyskać wyższą płacę. Żądano podwyższenia płacy o 15 proc. dla krawcowych, pracujących we dnie, a o 20 proc. dla pracujących od sztuki, oraz obniżenia czasu pracy do 52 godzin tygodniowo. Ostatecznie żądano uznania *organizacyi szwaczek*, liczącej z wybuchem strajku 1000 członków. Liczba ta w czasie strajku wzrość miała do 20000.

Strajkiem kierowały z początku żydówki, pochodzące z Rosyi i *Królestwa Polskiego*, lecz cały ruch zarobkowy byłby niechybnie upadł, gdyby nie nadspodziewana pomoc ze strony — milionerek i miliarderek nowojorskich. Urządziły one szereg olbrzymich zebrań, na których sprawę walczących o polepszenie swej doli szwaczek przedstawiono w korzystnem dla nich świetle i zebrano znaczne sumy pieniężne. Bogaczki nowojorskie stoją obecnie razem z kilku wybitnemi pionierkami kobiecego prawa wyborczego oraz z wybitnymi przywódcami amerykańskich związków zawodowych, jak Mitchelem, i prowodyrami politycznej partji socjalistycznej na czele strajku.

Wśród kobiet, które krawczyniom pierwsze pobiegły z pomocą, odgrywa najwybitniejszą rolę *Anny Morgan*, córka słynnego miliardera. Ona wszczęła najgorliwszą agitacyę wśród swych najbogatszych przyjaciółek. Dzięki hojności miss Morgan, która wiele swych pieniędzy włożyła do kasy strajkowej, zmowa trwa dalej. Zrozpaczeni pracodawcy chcą bluzki wycofać zupełnie z mody ale milionerki nie przyjmują takiego wyroku i użyczają swoim „koleżankom" nawet samochodów dla urządzania pochodów strajkowych. Oto powód, dla którego ubogie szwaczki ze wschodniej dzielnicy Nowego Jorku wznosiły okrzyki na cześć żon i córek milionerów amerykańskich.

Czy dziwne to przymierze broni pomiędzy miliarderkami a ubogiemi pracowniczkami igły potrawa długo, i czy poruszenie się sumienia kupujących miliarderek nowojorskich będzie czemś trwalszem od mody na jeden sezon zimowy, — należy odczekać.



Romantyzm i moda.

Nie tylko wydarzenia historyczne mają wpływ na modę, bądź to skłaniając młode panienki do noszenia „burskich" kapeluszy, bądź to zachęcając poważne nawet matrony do ubierania się w „kimono". I literatura tutaj niekiedy odgrywa swoją rolę. Najwybitniej to się zaznaczyło we Francyi podczas rozkwitu romantyzmu.

Głównym rysem romantyzmu francuskiego był powrót do tradycyi narodowych, do wspomnień historycznych. I oto widzimy, jak pod jego urokiem powoli znika styl „empire", ustępując miejsca średniowiecznemu. Przedewszystkiem styl ten odbija się na toaletach damskich. Eleganckie paryżanki zaczynają ubierać się tak, jak na scenie ubierają się bohaterki sztuk Aleksandra Dumasa i Wiktora Hugo. Najpierw kostyumy średniowieczne były przywdziewane tylko na wieczory średniowieczne. Po ogromnem powodzeniu wystawionej w r. 1829 sztuki Dumasa „Henryk III i jego dwór" arystokratki paryskie urządziły cały

szereg balów, na które trzeba było przybywać w kostyumach ściśle historycznych, przeważnie z epoki Henryka III i Franciszka I. Piękne kobiety gorliwie studyowały dawne ilustracye. Przed zamówieniem nowej toalety, w towarzystwie krawca i modystki chodziły do biblioteki publicznej i wertowały stare ilustrowane wydawnictwa. Z Paryża moda średniowiecczyzny (do XVI wieku włącznie) przechodzi na prowincyę. I tutaj zaczynają urządzać wieczory kostyumowe, będące swojego rodzaju wystawami historycznemi.

Potem, powoli, i toalety codzienne kobiet francuskich zaczynają przybierać nieco średniowieczny odcień, tracąc jednak znacznie swój styl. Noszą długie spódnice, rękawy bufiaste lub rozcięte, materye z dawnemi rysunkami, mieszając często mody trzech lub czterech epok historycznych. Tak naprzykład, przechował się list pewnej starej prowincyonalistki francuskiej, która prosiła męża, aby na nowy rok dał jej w upominku pelerynę a la Henri III, koloru „trepassè revenu“, suknię z trenem a la Charles VII, i kapelusz Henri II; wszystko to było obstalowane u Herbault et Palmyre, modnych ówczesnych krawców paryskich.

Noszą mnóstwo różnych lekkich rzeczy, tiulów, koronek, aby nadać tualecie, jak można najwięcej lekkości, a jej właścicielce „wygląd pięknego zjawiska z bajki“. Wspaniałe fryzury „jakby potargane przez burze“, a na nich duże, bardzo wysokie kapelusze, niekiedy z podniesionemi „a la mousquetaire“ rondami, przybrane kwiatami i piórami strusiemi. Lecz „ultra romantyczny kapelusz“, jest to — jak się wyraża w jednym z swych listów pewna ówczesna modnisia, — coś eterycznego, nadpowietrznego, jednem słowem — marzenie!“

Bardzo charakterystyczne są modne kolory, odpowiadające wytworzonej przez romantyzm modzie na melancholię. Do ogarniającego społeczeństwo bajronizmu jak można najlepiej pasują wszystkie te vert russe (ciemnozielony), cul-de-bouteille (oliwkowy), noir Marengo (czarny kolor). Noszą toalety koloru maure lub violette sauvage, okrycia koloru puce. Czerwony kolor noszą tylko w połączeniu z czarnym.

Ogromnie odbijają się upodobania romantyczne i na przedmiotach ze złota i srebra: broszki, sprzączki, nawet pierścionki i bransolety ozdabiane są piórami strusiemi, z herbami itp. Warunkiem nieodzownym mody romantycznej była wiotka, cienka talja; dla osiągnięcia jej damy ściskały się, ile tylko mogły.

Do połowy czwartego lat dziesiątka zeszłego wieku utrzymała się „romantyczna“ moda, poczem dążenie kobiet do uchodzenia za „zjawisko z bajki“ ustępuje miejsca innym ideałom. Pierwsze powieści George Sand zaczynają wywierać swój wpływ, i powstaje typ „lwicy“.

Lwica nie żyje przeszłością. Pogardza „gracyą kobiecą“ i ubóstwia wszystko, co „ekscentryczne.“

„Konnojezdka i łowczyni“, mówi o niej Daniel Stern w swych pamiętnikach, „w wysokich butach, z szpicrutą w rękach, cygarem w ustach, hałaśliwa, wyzywająca, — na każdym kroku naśladuje mężczyzn“. Prawdziwy romantyk odwróciłby się od niej — byłaby dla niego niezrozumiała.

Dzięki powieściom George Sand, romantyzm w modzie, w latach czterdziestych znika; nieco dłużej, jak zwykle wszystkie mody, przetrwał na prowincyi.



Dom i kuchnia.

Orzechy stare
należy przed użyciem do ciasta lub t. p. zamaczać na jakiś czas w letniej wodzie. Będą pulchne i smaczniejsze.

Obierając pomarańcze
należy je wpierw polać wrzącą wodą i zostawić tak przez pięć minut. W ten sposób wewnętrzna biała skórka, którą tak trudno odzielić od owocu, przylgnie do łupiny i wraz z nią zostanie obrana, zostawiając pomarańczę czystą i gładką.

Dyspozycya obiadów na cały tydzień.

Niedziela. Zupa neapolitańska, potrawa z kurcząt z sosem grzybowym, pieczeń cielęca z groszkiem zielonym, bezy z bitą śmietaną.

Poniedziałek. Rosół z jarzynkami, zając w kapuście czerwonej, galaretka z owocami.

Wtorek. Zupa czysta pomidorowa z pasztecikami, polędwica wołowa z rożna, kompot z jabłek.

Środa. Zupa cytrynowa z grzankami, ozór na szaro, pulardy pieczone z sałatą, krem czekoladowy.

Czwartek. Zupa grochowa na wędzonce, gęś pieczona z buraczkami, owoce.

Piątek. Zupa piwna z grzankami, sandacz smażony z kapustą, omlet z konfiturą.

Sobota. Rosół z włoską kapustą, sztuka mięsa z sosem chrzanowym, ryż z owocami.



:: HUMORYSTYKA ::

MIGAWKI.

JÓZEK.

II.

Zaręczyny Józka.

Dostałem przedwczoraj depeszę ze Lwowa tej treści: »Przyjedź natychmiast do Lwowa — katastrofa — Józek.«

Nie bardzo mnie ta depesza przeraziła, bo znam Józka, ale żona zaczęła nalegać, abym skoczył do Lwowa, bo podróż przecież nie tak droga, a kto wie, co się tam stać mogło. Na dworcu we Lwowie oczekiwał mnie Józek. Zaledwie mnie spostrzegł rzucił mi się na szyję.

— Słuchaj, mój drogi — mówił zadyszany — ja wiem, że ty mi nie wybaczysz tych grzechów, ale ja już wszystko naprawię i dlatego depeszowałem po ciebie...

— Cóż się stało, gadaj, bo nic nie rozumiem.

— Powiadam ci, człecze, robię szczęście. Jeszcze dziś, albo najdalej jutro popłacę swoje długi, spłacę twoje długi jeszcze...

— Już, już, już zaczynasz, ja przecież ciebie znam.

— No, wiesz, — powiada urażony Józek — ty jesteś niepoprawny. Powiadam ci przecież, że sam się do wszystkiego przyznaję i dziś poprawiam wszystko.

— Mniejsza o to. Cóż to za katastrofa, dla której mnie tu sprowadzasz?

— Pisałem umyślnie »katastrofa«, bo nie byłbyś może przyjechał, ale to nie żadna katastrofa, tylko poprostu zaręczyny, moje zaręczyny.

— Słuchaj, Józek, ty już mnie na zaręczyny nie weźmiesz, to ci się dwa razy udało, ale dziś już nie... Zresztą nie mam ani guldena dla ciebie...

— No wiesz, jeśli ty mimo takich zapewnień jeszcze węszysz coś niedobrego, to nie mam z tobą co mówić... Zresztą patrz na ten pierścień z brylantem.

— To może być «Stella-dyament« za guldena.

— Siadaj ze mną do dorożki, po drodze wstąpimy do jubilera.

Pierścień był istotnie piękny. Wsiedliśmy do dorożki.

— Jedź do hotelu *** — zawołał Józek.

— Czemu do hotelu? — spytałem.

— Czekaj, opowiem ci wszystko. Otóż rzecz ma się tak: Przyjechały tu z Rosyi dwie panie, matka z córką. Przedwczoraj poznałem obie w restauracyi tego hotelu i młoda, powiadam ci, odrazu zakochała się we mnie na śmierć. Stara naturalnie także. A ty wiesz, jakie Rosyanki są bogate. Powiadam ci, krociowa baba, pomyśl tylko, że mają cały klucz w Rosyi i jakieś dwie wioski w Galicyi zachodniej. Otóż widząc, że nie ma wiele czasu do stracenia ja ci bęc na kolana w samej restauracyi i oświadczam się o rączkę panny Loli.

— Ciekaw już jestem, jak to się skończy...

— Ale dziś wieczór zaręczyny. Tylko mówiłem im, że ja bez mego opiekuna t. j. bez ciebie ani rusz. Kazały więc zatelegrafować po ciebie i jesteś tu. Teraz słuchaj. One przecież nie zechcą hołysza, więc mówiłem im, że ty jesteś krociowym panem, a ja twoim spadkobiercą i pupilem.

— Proszę cię, tylko mnie nie wciągaj do swoich szelmowskich kawałów.

— Mój drogi, w partyi musi się trochę przesadzić, bo nigdy nie doszłaby do skutku. Zresztą zostaw to mnie, a pamiętaj, że jutro już nie mamy długów ani ja, ani ty. Musisz więc dziś wziąć na siebie tę rolę na parę godzin, a nie zapominaj, że jesteś baronem... pst... musisz, musisz synu, ja już im tak mówiłem, a nie wypada już kręcić, bo zepsułoby się wszystko...

— Ależ zwaryowałeś chyba...

— Nie bądźże upartym, bo mnie zrujnujesz a pamiętaj o naszych długach...

Zajechaliśmy przed hotel. Józek wchodzi pierwszy, a mnie każe iść za sobą. Służba hotelowa oddaje nam honory.

— Sługa pana barona, całuję rączki pana barona...

Zanim weszliśmy do pokoju, w którym mieszkały owe dwie damy rosyjskie, Józek poprosił mnie, abym zatrzymał się na kurytarzu, a on zajrzy, czy nas teraz przyjąć mogą. Czekałem. Po chwili Józek wraca zakłopotany.

— Mój drogi — powiada — nie gniewaj się, ale stara jakaś niedysponowana, prosiła, abyśmy zaczekali w restauracyi na dole, dokąd nadejdą z córką za kwadransik.

Weszliśmy do restauracyi.

Józek kazał podać kolacyę tymczasem na dwie flaszki dobrego wina.

— To u mnie teraz nic nie znaczy! — powtarzał Józek ciągle dolewając wina. Wpadliśmy obaj w różowy humor. Wreszcie nadeszły dwie piękne panie, obie młode i bardzo eleganckie. Józek przedstawił nas, ale nie widziałem, która jest matką bo obie były młode. Prosząc mnie na ucho, abym nic nie wspominał o zaręczynach, bo mógłbym »zarąbać wszystko na nic«, usadowił mię przy jednej a sam usiadł obok drugiej. Mówiły po rosyjsku i francusku a słabo po niemiecku.

Zaraz po kolacyi zaczęły strzelać szampanowe flaszki. Było bardzo wesoło, ale przebiegu tych zaręczyn nie pamiętam. Wiem tylko, że pierścień brylantowy Józka widziałem na palcu jednej z pań, że Józek flaszką wybił dwie szyby w restauracyi, żeśmy się dużo całowali, że nazajutrz rano wiózł mnie Józek w dorożce na dworzec kompletnie pijanego, sam kupił mi bilet za pieniądze z mojej portmonetki i wprowadził mię do wagonu.

W wagonie musiałem spać twardo, bo zajechałem o sześć stacyi dalej, aniżeli mi się według biletu należało. Ale wieczorem byłem już u siebie na wsi. Po wysłuchaniu okolicznościowego kazania od żony wyspałem się należycie, a dziś rano przyniosła mi poczta następujący list:

„J. W. Panie Baronie!

Dołączając rachunek za wczorajszą kolacyę oraz za wyrządzone podczas tejże szkody na ogólną kwotę 365 koron 94 hal., upraszamy uprzejmie o łaskawe wyrównanie go. W. Pan Dr. Józef *** zapewniał płatniczego, że JWPan Baron rachunek ten nazajutrz zapłaci, co gdy nie nastąpiło a obie tancerki z Rosyi przed wyjazdem ze Lwowa także go nie wyrównały, zmuszeni jesteśmy na tej drodze prosić o łaskawe uregulowanie rachunku do dni trzech. Z poważaniem Zarząd.“



Takiego stać.

— Jedzie pan tego lata do kąpieli.

— Na co ja mam jechać; mnie stać na to, aby kąpiele do mnie przyjeżdżały.

— Jakim sposobem?

— Jak zapłacę, to mi codzień wannę z gorącą wodą przywiozą do mieszkania.



Pobożne życzenie.

— Czem ten poskromiciel pokonuje te dzikie bestye?

— Głównie swym wzrokiem.

— Ach! nie mógłby on siły swego wzroku spróbować na mojej żonie?



— Co ja słyszę?! dopiero dwa tygodnie jakeście się z sobą pobrali i już się bijecie?

— Cóż robić! życie tak krótkie...



— Czy wiesz, że będziemy mieć nowego ministra wojny? — mówi jeden żołnierz do drugiego z okazyi śmierci tego dygnitarza.

— Tak?!... a ja sądził, że wdowa po nim, będzie dalej interes prowadzić.



Na jarmarku.

— Co mi, ty bestyo żydzie, tak zachwalasz tego konia, skoro widzę, że to szkapa ślepa!

— Nu, co jest? co to komu szkodzy? una i tak gazetów cytać nie będzie.



— Czy bogowie olimpijscy zawsze chodzili bez szat?

— Podobno.

— A gdzie chowali chusteczkę do nosa?



— Czy twoja żona umie gotować?

— Te, gotować umie, tylko ja nie umiem tego zjeść.



— Cy Jabrom już sze zaręczał ze Saluszą?

— Jescy ni, ale zaręcyny już są bardzo blisko, bo sze yno jeszczy o małe sto reński rozchodży...



Trzeba pamiętać.

— Przy butelce dobrego wina zapominam o wszystkiem

— To źle, trzeba pamiętać o zapłacie!



Rozszerzajcie pismo nasze!

Redaktor odp. na Galicyą Teofil Cholewicz w Krakowie. Czcionkami „Dziennika Poznańskiego.". — Wydawca A. Marweg w Poznaniu. Redaktor odp. Józef Zieliński w Poznaniu.